

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Gdańsk
Wąły Jagiellońskie
24

26036

SZYŃSKI

K S I E G A
P O N U R Y C H
N I E D O P O -
W I E D Z E Ń



KSAWERY PRUSZYŃSKI

KSIĘGA PONURYCH
NIEDOPOWIEDZEŃ

K S A W E R Y P R U S Z Y Ń S K I

KSIĘGA PONURYCH NIEDOPOWIEDZEŃ

*(na marginesie książki gen. Mieczysława
Norwida-Neugebauera „Kampania wrześniowa
1939 w Polsce”)*

1000 MIL OD PRAWDY

*(na marginesie książki płk. Romana Umiastow-
skiego „12 mil do Warszawy... 30 mil do Paryża”)*



WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

k 1235/
157



26036

Redaktor: R. Leciński
Redaktor techn.: H. Malczewska
Korektor: M. Kozerska

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1957 r. — Wydanie I

Nakład 7.000 egz. Obj. 2,90 ark. wyd., 5 ark. druk.
Papier druk. mat. V kl. 70 g. Format 70 × 100/32
z Fabryki Papieru w Myszkowie. Oddano do składu
26 VIII 57 r. Podpisano do druku 30 VIII 57 r. Druk
ukończono we wrześniu 1957 r. Zam. nr 4511
z dn. 26 VIII 57 r.

Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie

B-90

Cena zł 6.—

OD WYDAWNICTWA

Od owego, pamiętnego i tragicznego, upłynęło już osiemnaście wrześni. Każdy z nich zmuszał do rozmyślań i ponurych refleksji.

Obecny wrzesień, anno 1957, tym różni się od poprzednich, że wbrew ustalonemu porządkowi nastąpił po październiku. To odwrócenie kalendarza niektórzy za granicą, a i w kraju, starają się wykorzystać dla przedstawienia przeszłości widzianej z pozycji... do góry nogami.

Złe będzie, gdy stanie się to z Wrześniem, gdy bohaterstwo prostego żołnierza, oddającego życie w obronie kraju ojczystego, przesłoni nam zdradę i podłość tych, którzy swoimi 20-letnimi rządami przygotowywali nieuchronne nadejście klęski; gdy zgrani do nitki szulerzy polityczni zechcą posłużyć się kartą Września dla zrehabilitowania się w oczach narodu polskiego.

Dlatego też udostępniamy szerokim rzeszom czytelników dwa mało znane artykuły Ksawerego Pruszyńskiego: „Księga ponurych niedopowiedzeń” i „1000 mil od prawdy”, napisane przez niego jeszcze w 1941 roku. Stanowią one przyczynek do głębszego poznania tragedii wrześniowej i jej prawdziwych sprawców.

Pisane z wielką pasją, można rzec, krwią serdeczną, artykuły te oskarżają sanacyjnych wielkorządców — kamarylę wojskową — o politykę, która nieuchronnie prowadziła do wrześnie. „Heroizm kobiet i dzieci, ludności cywilnej i ochotników — woła Pruszyński — nie może służyć za parawan najhaniebniejszym stronom naszej historii. Było jedno i było drugie. To, co naród dał rządzącym, stało na wyżynach bohaterów Plutarcha. To, co rządzący zrobili z tym, co dał naród, osiągnęło dno upadku historii Polski”.

Ostatnim dowódcą obrony Sochaczewa nie był żaden generał czy oficer. Był nim — przyznaje to sam gen. Norwid Neugebauer w swojej książce „Kampania wrześnie 1939 w Polsce” — starszy strzelec. Ten bezimienny bohater i tysiące jemu podobnych — szeregowców, podoficerów i oficerów obroniło we wrześnie honor i dobre imię Polaka. Na nic więcej niestety stać ich nie było. Jest to jednak bardzo dużo, gdy zważymy, że ci, którzy przez wiele lat mamili naród złudnym zawołaniem: „Silni, zwarci, gotowi”, haniebnie uciekli, opuszczając kraj i naród — bezbronny w obliczu nieprzyjaciela.

Pruszyński rozwiewa męt o wysokich kwalifikacjach przedwojennej kadry dowódczej. Polemizując z osławionym pułkownikiem Umiastowskim stwierdza on: „I mijają się z prawdą (plk. Umiastowski — przyp. red.), gdy pisze, że nasza armia zaćmiewała inne ilości ludzi wykształconych, bo to także nie jest prawda, bo to właśnie armia niemiecka miała wspaniałą

zapas wykształconych głęboko dowódców, znających i socjologię, i ekonomię, i prawo, i geopolitykę, i technikę, podczas gdy u nas (w armii sanacyjnej — przyp. red.) pełno było niedouczonej doktorów, handlowców, prawników, metodyków, no a niestety także — niedouczonej wojskowych”.

Artykuły Pruszyńskiego, rozwiewając mity, ukazując winowajców tej ogólnonarodowej tragedii, są nieodpartym, mimo że niezamierzonym potwierdzeniem słuszności naszej polityki, naszej drogi zapobieżenia w przyszłości podobnym wrześniom.

Sądzymy, że artykuły te, udostępnione czytelnikom w 18-tą rocznicę klęski wrześniowej, spełnią swoje zadanie; ukażą raz jeszcze całą podłość i nicość owych władców Polski dowieśniowej.

Powtarzamy za Pruszyńskim: „Rozrywajmy — jak to kiedyś mądrze powiedział Żeromski — rany polskie, by się nie zablizniły blizną podłości”.

— Jak się nasi biją? — pytał działacz socjalistyczny, późniejszy minister polskiego rządu, rannego oficera polskiego, napotkanego we wrześniu 1939 r. pomiędzy Katowicami a Warszawą.

— Nasi się nie biją; nasi umierają — odpowiedział ranny. — Człowiek może walczyć z człowiekiem. Ale jeśli naprzeciwko człowieka idzie maszyna, człowiek, wobec maszyny bezbronny, może tylko umierać.

KILKA SŁÓW WSTĘPU

Nie mogę się skarżyć, aby moje artykuły o kampanii wrześniowej natrafiły na obojętne przyjęcie czytelnika. Spotkało mnie, przeciwnie, zbyt wiele słów szczerego i gorącego uznania ze strony ludzi, których ofiarność dla Polski jest naprawdę bezgraniczna, aby nie miało mnie to radować. Spotkało mnie, na odwrót, zbyt wiele wylewów wściekłości, złorzeczeń, wymysłów, a nawet pogroźek (w stylu znanym i ze sprawy Nowaczyńskiego, i ze sprawy Dołęgi-Mostowicza, i wreszcie ze sprawy Cywińskiego), by mi nie miały zrobić przyjemności nie mniej serdecznej niż uznanie innych. Dziękuję i tym czytelnikom za poczucie, że trafiłem w sedno. Nie mam im tego bynajmniej i ani chwili za złe. Rozumiem doskonale, że jak dla potomka niejednej magnackiej rodziny polskiej wspomnienie Targowicy jest po dziś dzień haniebne, tak samo — a nawet w większym jeszcze stopniu — świeże wspomnienie własnych win musi być szczególnie dotkliwie dla tych, co brali większy lub mniejszy, bliższy lub dalszy udział w tym, co się działo w Polsce. Jest to tym boleśnieszce dla tych zwłaszcza, którzy nie wyrzekli się wcale nadziei odgrywania w przyszłej Polsce tej samej elitarnej roli, jaką odgrywali w niedawnej.

Natomiast wydaje mi się celowe, by omawianie

tego, co było — a omawianie to jest nieuniknione — dokonywało się w świetle jawnej dyskusji, przy użyciu argumentów i przeciwargumentów, na wzór, że tak powiem, europejski. Artykuły w piśmie przemijają łatwo; przeciwnicy moi — widocznie nie zawsze znajdując argumenty — wołają przekręcać moje twierdzenia i dopiero z wyinaczeniami własnej wyobraźni, nader bujnej, gdy chodzi o powtarz, polemizować. Broszura, choćby niewielka, dotrze łatwo do rąk ludzkich: czytelnik zachowa ją może w szufladzie, w kieszeni albo w plecaku. Ktoś, co moje wywody zna dotąd jedynie z przekręceń ludzi niechętnych prawdzie, będzie mógł przy tej okazji sprawdzić, czy pisząc te słowa uczyniłem jakiś uszczerbek bohaterskiej pamięci nusznych żołnierzy, którzy istotnie bili się wspaniale, co zresztą było ich własną, a nie niczyją inną zasługą. Ktoś, kto sądzi, że odmawiam polskiemu oficerom zalet bojowych, przekona się wtedy sam, a nie z cudzego gadania, że jeśli nie zapomniałem o Zaleszczykach i limuzynach, to pamiętałem i o tych, co padli pod Kutnem. Tylko że prowadzić wojnę — to nie tylko być dzielnym i nie tylko umieć zginąć. Prowadzenie wojny to umiejętność; to wiedza; to myśl; to kroczenie z duchem czasu, gdy chodzi o wynalazki techniczne. A może jeszcze i z duchem czasu, kiedy chodzi i o inne sprawy...

KSIĘGA
PONURYCH
NIEDOPOWIEDZEŃ

(na marginesie książki gen. Mieczysława Norwida-Neugebauera „Kampania wrześniowa 1939 w Polsce”)

JAK WYGLĄDAŁY PRZYGOTOWANIA POLSKI DO WOJNY W 1939 r.: POLITYCZNE, GOSPODARCZE I WOJSKOWE?

Po rozgromie państwa polskiego, we wrześniu 1939 r., od razu podniosły się głosy, by nie podnosić rekryminacji, nie oskarżać, nie badać, nie potępiać. Nazywało się to walką z judzeniem, z „opłuwaniem poległych“, z „jątrzeniem ran“, z nieposzanowaniem żałoby. Na moment zapomniano o mądrym zdaniu Żeromskiego, że „trzeba rozrywać rany polsce, by się nie zabiłymi bliźnią podłości“. „Bliźni podłości“, jak widzimy, nie dla wszystkich są wstrętne. Ci sami, którzy najgorliwiej komasowali wokoło jednej postaci, formacji czy obozu całość zasług odbudowania państwa polskiego, obecnie, gdy państwo to runęło w okolicznościach i tempie, którego jednak nie przewidywał ani jeden z trzydziestu pięciu milionów obywateli, orzekli, że za to o przyczynach, winie i błędach, które spowodowały upadek, mówić nie należy. Używano nawet argumentu szczególnie fałszywego: „Popatrzcie na Francuzów i Anglików, czy oni w takich wypadkach żrą się, kłóca, wspominają o przeszłości? Nigdy w życiu; mówią o tym, co teraz być powinno“. Tego rodzaju „argument“ używany jest albo przez ludzi, którzy nie znają ani Anglii, ani Francji albo którzy sądzą, że ich rozmówca czy

Jest rzeczą naturalną, że każdy Polak myśli i mówi o Wrześniu; zapobiec temu nie sposób i zapobiegać temu nie wolno

czytelnik tej Anglii i Francji nie zna. Przeciwnie. Katastrofa francuska wywołała nie jedną, ale szereg książek, oskarżeń, polemik, analizujących przyczyny upadku, szukających winnych, wypatrujących, jakie popełniono błędy. Polityka Anglii i Francji, polityka europejska owych lat ostatnich doczekała się już teraz licznych opracowań (w których nb. polityka Marszałka Piłsudskiego występuje w świetle nader korzystnym, co oczywiście nie znaczy wcale, by w tym samym świetle występowała i jej beckowska kontynuacja). To nie kto inny niż Winston Churchill powiedział publicznie, że „badanie błędów przeszłości jest drogą do poprawy na przyszłość“. Święte, mądre, uczciwe słowa. (W ogóle jaka szkoda, że nasi mężowie stanu nie biorą i w tym, i w niejednym praktycznego przykładu z brytyjskiego premiera i że polski podziw dla tego niezwykłego człowieka ogranicza się w praktyce do zamieszczania jego fotografii w urzędówkach i obkadzania go w artykułach.)

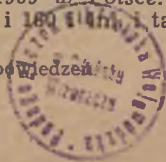
Raz jeden jeszcze w naszej historii krzyk tych, co nie chcieli „rekryminacji“, wziął górę nad rozsądkiem tych, co jednak chcieli jakiejś odpowiedzi na pytanie: „jak się to stało?“ Wrzesień 1939 i to, co mu towarzyszyło, stało się jednak istnym „tabu“ dla polskich pisarzy, dla polskich pism, dla polskich wydawnictw. O rok późniejsza tragedia francuska, majowa Dunkierka, ba — Norwegia i Holandia doczekały się omówień. Polska — nie! W 11 książkach i broszurach omówili ją — Niemcy. U nas przeciwnicy „rekryminacji“, zwolennicy świętej zgody narodowej, gdy można nią własne błędy pokrywać, ruszyli nawet do przeciwnatarcia.

Toteż przyklasnąć należy — z samej zasady — książce gen. Mieczysława Norwida-Neugebauera*, bo z dużym nakładem pracy, z wielką sumiennością, z poważną zwięzłością słowa rozpoczął nareszcie swą „Kampanią wrześniową“ omawianie przez Polaków największej klęski ich historii. Trzeba ją przeczytać. Trzeba się nad jej zdaniem zastanowić. Trzeba ją przemyśleć. Albowiem istotą demokracji (o której, niestety, mamy na razie raczej frazesy od święta) jest właśnie to, że społeczeństwo jest wdrożone nie tylko do ofiar na rzecz swego państwa, ale także do myślenia o swym państwie, jak chłop myśli o swym gospodarstwie, kupiec o sklepie, robotnik o warsztacie. I z tą jedyną, jak dotąd, książką o naszej klęsce, napisaną przez generała, przez zwolennika i b. ministra niedawnych rządów, nachylmy się poważnie i badawczo nad tym, co się stało.



Prawdopodobnie wielu czytelników już po pierwszych rozdziałach dojdzie do wniosku, wraz z autorem niniejszych słów, że książka ta ujęła zagadnienie, na które szukamy odpowiedzi, za ciasno i za krótko. Albowiem ujęła je wyłącznie jako pewne zagadnienie wojskowe i wyłącznie jako pewną kampanię wojenną, od dnia jej rozpoczęcia do dnia jej zakończenia.

* Mieczysław Norwid-Neugebauer, generał dywizji, *Kampania wrześniowa 1939 w Polsce*. Londyn, M. I. Kolin, 1941; str. X i 2nl. i 180 stron i tabl. 15.



Polityka zagraniczna popełniała szereg błędów; komu zawdzięczamy jednak najbardziej absurdalne?

Niestety jednak, przyczyny, jakie się złożyły na klęskę wrześniową, sięgają znacznie głębiej i rozpościerają się znacznie szerzej. Są to zagadnienia z dziedziny polityki zagranicznej, jak Rosja, jak Słowacja, jak sojusz brytyjski. Jest niewytłumaczalne, dlaczego — skoro groziła wojna — nie uczyniono nic, choćby dla próby, by pozyskać sobie życzliwość sowiecką? Dlaczego postąpiono tak, jakby za Zbruczem i Horyniem kończył się „orbis terrarum“, zaczynało polityczne vacuum, skąd nic grozić nie mogło? Mniejszym zagadnieniem, ale jeszcze jaskrawszym błędem była nasza polityka słowacka. Nikt nigdy nie wiedział, o co Polsce chodziło, kiedy podniecała przeciwko Pradze irredentę słowacką: czy o przyłączenie Słowacji do Polski (czego bodaj nie chciała), czy o przyłączenie jej z powrotem do Węgier (czego znowuż nie chcieli Słowacy), czy wreszcie Warszawa chciała mieć w Europie środkowej jedno państwo więcej? Po podbechtywaniu Hlinków, Tisów, Murgaszów i Machów, po uznawaniu Słowaków za to samo, czego gwałtownie odmawiano o ileż samodzielniejszym Ukraińcom, tj. za odrębny naród, zagrano po Zaolziu politykę odmienną. Wołano teraz o Spisz i Orawę, odkryto 100 000 „zesłowaczonych“ Polaków i ze wspaniałym użyciem siły zbrojnej zagarnięto Słowakom parę skalistych gmin, które w Polsce nie obchodziły nikogo poza taternikami; za to w Słowacji aneksja ta oburzyła na Polskę cały dosłownie naród. Warto przypomnieć, że w tej wojnie tatrzańskiej, to GISZ i wojsko pchały nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych po najfatalniejszej już drodze. Nie wolno zapominać, że na uwagi sceptyków, iż nie warto rzucać Bratysławy w ramiona niemieckie dla kilkunastu mizernych wio-

sek góralskich, odpowiadano nam tajemniczo, że chodzi o „względy strategiczne“ i że posiadłszy tych parę dolinek, będziemy zabezpieczeni od południa. W rezultacie wszystkich wysiłków Słowacja stała się niebawem Prusami Wschodnimi naszej granicy południowej, bo oddała się w ręce Niemiec. Jeżeli zaś chodzi o „walory strategiczne“ owych gminiek, zablęły one w całej okazałości i splendorze już w pierwszych godzinach wojny, kiedy armie niemieckie przedostały się bez najmniejszego trudu do Suchej, Zakopanego i dalej. Dzisiaj wiemy wszyscy, że ów marsz na Słowację, jak i pochód na Litwę rok przedtem były typowym posunięciem kamaryli wojskowej, którą rozpira żądza „sławy“ dość efektownej, a co najważniejsze jak najtańszej. Stąd nagła żądza „poszerzenia Ojczyzny“ o obszar Skalitego i Czadcy. Tym fatalnym posunięciem polskiej dyplomacji, walnie tu wspartej przez jeszcze bezmyślniejsze czynniki wojskowe sztabu, uzyskiwano istotnie „poszerzenie“, co prawda nie tyle Ojczyzny, ile frontu. O z górą 600 km.

Wreszcie istnieją błędy dyplomatyczne z ostatniej już chwili. To błędy polsko-francusko-brytyjskiej umowy sojuszniczej. Jak wiadomo, w wypadkach podobnych sojuszy, obliczonych na działania wojenne, po zasadniczych rozmowach dyplomatów następują rozmowy sztabów. One to dopiero ustalają pewne ściślejsze okoliczności współpracy, omawiają terminy, formę, jaką przybierze, rozmiary. Sojusz brytyjsko-francuski sprzed r. 1914 nie istniał jako akcja dyplomatyczna; oficjalnie były to tylko porozumienia sztabów. Te porozumienia były jednak tak płodne, że wystarczyły na cztery lata wojny. W wypadku polsko-brytyjsko-francuskim

sprawa przedstawia się — zdaniem gen. Norwida-Neugebauera — znacznie gorzej. „Rozmowy między kierowniczymi organami sił zbrojnych — pisze on — które odbyły się w maju i czerwcu 1939 r., obejmowały jedynie wzajemną wymianę informacji, pozostawiając stronom sprzymierzonym zupełną swobodę i niezależność. Bliżej, lecz w najbardziej mało wiążącej formie, był omówiony czynnik czasu jedynie z Francją“.

Należy zaprotokołować sobie te twierdzenia wybitnego wojskowego i pisarza. Są one nadzwyczaj cenne. Okazuje się, że *nasze władze wojskowe nie uczyniły nic, aby ukonkretnić wojskowo ów sojusz. Nie wytargowały tego, by w razie wtargnięcia Niemiec do Polski Francja i Anglia pośpieszyły z natychmiastową pomocą. Nie ustaliły jakiegoś terminu takiej pomocy, ofensywy sprzymierzonych czy czegoś podobnego. Czym wytłumaczyć to zaniedbanie?* Prawdopodobnie tą nieprawdopodobną butą i pewnością siebie, jaka cechowała, niestety, wielu naszych rządzących i pozwalała im zapewniać na prawo i lewo, że będziemy niebawem w Królewcu, w Pradze czy w Berlinie. W ten sposób największe dzieło dyplomacji polskiej nie zostało wyzyskane na czas. Raz jeszcze, nawet w dyplomacji, wojskowi psuli.

Polityka gospodarza nie przygotowała tej wojny; ale czy czynniki gospodarcze są za to odpowiedzialne?

Jeżeli dobra polityka zagraniczna może wojnie zapobiec, może ją starannie lub niestarannie przygotować przez swe sojusze czy konflikty, to oczywiście istnieje jeszcze i przygotowanie gospodarcze wojny. W książce gen. Norwida-Neugebauera, która jest wyraźnie wojskowa i — z wielką dla przejrzystości korzyścią — unika odbiegania ku innym sprawom, nie ma o tym nic. A jednak nie ma rozumnego człowieka, który by nie wiedział, że

polityka gospodarcza państwa może prowadzenie wojny ułatwić lub utrudnić, że na losach przyszłej kampanii wojennej zaważy tak lub inaczej. Nie pragnę się rozwódzić dłużej nad tym zagadnieniem. Nie byłem nigdy zwolennikiem ani polityki, ani osoby ministra skarbu Kwiatkowskiego. A jednak jest oczywiste, że wystarczyłoby jedno słowo „drugiej osoby w państwie“, jaką stał się marszałek Śmigły-Rydz, aby Kwiatkowskiego przegonić, by zamiast budowania własnych fabryk broni, na co był może czas w r. 1929 i 1930, ale na co w r. 1935 było już grubo za późno, iść na zakup broni u obcych, co niejedno państwo praktykowało z niemałym powodzeniem. Oczywiście jest jednak, że budowanie własnych fabryk stwarzało nieograniczone możliwości posad czy raczej synekur zarządczych, na których umieszczano „zasłużonych“ ze sztabów. Wreszcie, to nie kto inny, tylko czynniki wojskowe regulowały u nas od początku sprawę, której błędne postawienie rozumiało w Polsce najgorsze nawet pismo — z wyjątkiem „Polski Zbrojnej“ — sprawę haniebną motoryzacji. Jeśli kto pamięta choćby taki szczegół, że urzędnik kupujący dwuosobową Simkę uzyskiwał ulgi, raty i potrącenia, a rzeźnik nabywający ciężarówkę nie uzyskiwał nic, ten rozumie, że nawet to jedno zagadnienie zaważyło straszliwie na Wrześniu, bo zaważyło podwójnie szkodliwie. Raz, że uniemożliwiło szybki przerzut wojsk na potrzebne odcinki i na czas (do tego brakło właśnie owych rzeźnickich ciężarówek). Po drugie, że umożliwiło elicie posiadaczy nieużytecznych wojskowo Simek szybkie przeniesienie się do Zaleszczyk i dalej, na obdarzanie Ojczyzny dalszą, równie owocną pomocą.

Ale nie tylko wielkie zagadnienia, które przygo-

towały na swój sposób Wrzesień, są w książce gen. Norwida-Neugebauera pominięte tematycznie. Pominięte jest również i samo wojskowe przygotowanie do wojny. Książka rozpoczyna się właściwie na parę dni przed 1 września, dniem wojny. Nie jestem żadnym strategiem, choć ostatecznie widzieliśmy, że i ci, co się za takich pozwalali podawać, strategami także nie byli. Ośmielę się jednak powiedzieć, że — moim skromnym zdaniem — ciężar wydarzeń spoczywa nie po 1 września, ale przed tą datą, że nasza klęska dokonała się znacznie, znacznie wcześniej, że nastąpiła już przed wojną. W bridżu, który w pewnych kołach w Szkocji znajduje więcej amatorów niż głupie „learn English!“, istnieją dwie odrębne części: licytacja i rozgrywka. Otóż zdarza się często, że licytacja wadliwa czy udana przesądza już o wyniku gry, która po niej nastąpi, że w „rozgrywce“ można potem nadrobić lub nie nadrobić lewy, ale że najlepsza nawet rozgrywka złej licytacji już nie przekreśli. A zwłaszcza licytacji fatalnej.

*
*
*

Francuzi mieli swoją koncepcję przyszłej wojny i Niemcy swoją, i Sowieci swoją; nawet Czechosłowacja miała swoją

Od szeregu lat sztaby europejskie posiadały pewne koncepcje przyszłej wojny. Stosownie do tych swych koncepcji kładziono nacisk to na tę, to znowuż na inną stronę przygotowania wojny. Sztaby niemieckie, włoskie, podobnie jak rosyjski miały dość jednolitą koncepcję przyszłej wojny jako wojny par excellence ruchowej. Czołgi, zmotoryzowana artyleria, zmotoryzowana piechota, samoloty miały umożliwić rzucenie wielkich elementów ognia i niemniejszych ruchy na pewne konkretne odcinki, przełamanie tam oporu i wdarcie

się niewstrzymane dalej. Sztab francuski (w odróżnieniu od jednego z jego świetnych młodych oficerów, płk. de Gaulle) był innego zdania. Sądził, że linia nowoczesnych fortyfikacji zatrzyma na swoim przedpolu i wyniszczy doszczętnie armie na motorach. Wojna hiszpańska nie dała ostatecznie odpowiedzi na te pytania. Wprawdzie pas obronny wokoło Bilbao udało się wojskom gen. Franco przełamać, ale Madryt z liniami nad Jaramą i z Guadalajarą wskazywał, że bywa i inaczej. Nieszczęściem i błędem Francji była głównie niekompletność jej koncepcji maginotowskiej. Całe północne odcinki tej linii w ogóle nie powstały wobec rachuby na belgijskie linie obronne, które były słabe, niepełne i zostały zdobyte bez trudu. I może nie tyle błędność samego założenia, że linia Maginot zatrzyma wszystko, ile niedoprowadzenie do końca tej koncepcji było główną przyczyną wojskową załamania się Francji.

Sztab polski miał o miedzę od siebie kilka doskonałych przykładów nowoczesnych koncepcji wojennych. Miał niewielką, ale świetnie wyposażoną, na wskroś nowoczesną, zaopatrzoną i w linie obronne, i w czołgi czy samoloty, armię czechosłowacką. Armia ta nie walczyła. To prawda. Ale nie walczyła dlatego, że i sama armia, i cała Czechosłowacja wchodziły w skład pewnej koncepcji ogólcioeuropejskiej. Były tylko odcinkiem frontu. Cennym, ale tylko odcinkiem. Jeśli główne linie oporu cofają się na raz, obrona odcinka może być heroicznym samobójstwem, pięknym symbolem, i koniec. Plan ugody i przetrwania, koncepcja Hachy, może być godna nagany, ale jest koncepcją. Dzięki niemu położenie Czechów jest najznośniejsze w porównaniu z położeniem kilkunastu naro-

koncepcję; jakąż jednak koncepcję miała — Polska?

dów podbitych przez Niemcy. Że armia czechosłowacka, posłuszna swej władzy, rozbrojona w Monachium, nie walczyła, gdy Niemcy zajęli Pragę, to jedna sprawa, a to, że Czechosłowacja miała swoją koncepcję obrony i była dobrze uzbrojona, to inna. Koncepcja czeska wahała się pomiędzy niemiecką a francuską. Pomiędzy motoryzacją a linią fortów. Miała to i miała tamto. Tylko myśmy nie mieli niczego.

Był jeszcze także o miedzę przykład niemiecki i przykład sowiecki. Oba tym dla nas ciekawsze, że chodziło o naszych sąsiadów. I tym, że obaj finansowali wielki plan zbrojeniowy nie złotem, bo go nie mieli, ale szeregiem innych sposobów, które wzbogacały Niemcy o autostrady a Sowiety o Dnieprostroje. Specjalnie przykład sowiecki mógł być dla nas ciekawy. Pokazywał, jak kraj zniszczony wojną, pozbawiony kredytów zagranicznych, stwarza sobie ciężki przemysł, sadza parobków na traktory, żołnierzy na czołgi. Nasi literaci podziwiali w Sowietach dobrobyt ludowy, którego nie było, nasi biurokraci nie mieli słów zachwyty dla tych systemów nowoczesnego brania za mordę, w jakie wyposażyla państwo rewolucja socjalistyczna. Tylko czołgi pozostały nie zauważone i nie dostrzeżone. Wiedział o nich każdy obywatel Rzeczypospolitej. Pokazywano je na każdej paradzie w Moskwie. Zapraszano na te parady naszego attaché wojskowego. Po czym koła „kompetentne“ uspokajały nas, że czołgi te są z tektury i dykty, że ten sam czołg pojawia się na paradzie kilkanaście razy po kolei. O niemieckich czołgach powiadano u nas, że nie przejdą po naszych drogach, że zatrzymają je Wisłok, Pilica, Nida i Bzura. Utrzymywaliśmy masy kawalerii. „Była to broń kosztowna“ — stwier-

dza gen. Norwid-Neugebauer. Dlaczegośmy ją za-
trzymali? — pyta mimo woli czytelnik. Gen. Nor-
wid-Neugebauer podaje następujące racje: względ
na tradycje narodu, stan dróg, myśl o wojnie na
wschodzie i niezmotoryzowanie kraju. Odpowiemy
na to: tradycja narodu jest rzeczą bardzo piękną,
ale nie w tej dziedzinie. Idąc tak dalej, musielibyśmy
reaktywować w naszej armii pancerze spod
Wiednia i łuki króla Popiela. Stan naszych dróg
nie skłonił Niemców do wyrzeczenia się czołgów.
A nasz sąsiad ze wschodu, ten właśnie, na którego
mieliśmy ruszyć po staremu, po polsku, z laną
i szabelką, a na koniku, gramolił właśnie swoich
kozaków na stupudowe czołgi... O, tak! Kawaleria
była to broń kosztowna. Kosztowała nas ogromnie
wiele. O wiele więcej, niż mogły liczyć najśmielsze
budżety kawaleryjskich pułków.

Polska tedy nie miała ani stałej linii obronnej,
ani motoryzacji. Nie miała ani francuskiej, ani
niemieckiej czy rosyjskiej koncepcji. Nie miała
i własnej. Nie miała też czeskiej nowoczesności.
Sprawa lotnictwa jest tu może najbardziej ponurą
sprawą. Nie tylko wojskowości. W ogóle rządów
naszych, niestety — od r. 1926. Dnia 8 września
1939 r. okazało się, po 13 latach rządów wojska
mamy znikomą cyfrę 377 samolotów bojo-
wych. Mniejsza już — jeśli wolno tak mó-
wić — że bombowiec niemiecki był szybszy
od polskiego myśliwca, że — jak stwierdza
mimoходом gen. Norwid-Neugebauer — samoloty
niemieckie i szybkością, i uzbrojeniem górowały
nad polskimi. Pozostanie faktem, że w r. 1926,
w tym samym czasie, gdy zamierzona została, nie
przeprowadzona potem, motoryzacja armii, posia-

daliśmy samolotów bojowych więcej niż po 13 latach rządów wojskowych. Jak to się stało? — zapyta każdy myślący czytelnik. Co za szkoda, że w książce gen. Norwida-Neugebauera nie znajdzie na to pytanie żadnej odpowiedzi.

Byliśmy bez czołgów, byliśmy bez linii obronnych, byliśmy bez samolotów. Ale za to szczyciliśmy się, że w żadnej armii europejskiej dzień marszowy piechoty nie jest tak długi jak w naszej. Rekord 70 km dziennie! Niestety, zmotoryzowane jednostki innych armii europejskich odbywały tę przesturzeń w ciągu dwóch godzin. Posiadaliśmy żelazną dyscyplinę. Posiadaliśmy wreszcie idealny materiał żołnierski. O, takiego nie posiada w Europie żadna armia. Ale znowu, że tak było, to nie było zasługą ani sztabu, ani GISZ-u, ani wojska. Było to zasługą polskich tradycji, zasługą polskiej matki, polskiego domu, polskiej szkoły powszechnej, ludu polskiego, że młodzież nasza wchodziła w życie z pozytywnym stosunkiem do wojska, a heroicznym — do wojny. Toteż jeśli ktoś wspomina, jak gen. Norwid-Neugebauer, że nie mieliśmy czołgów, ale mieliśmy świetny materiał żołnierski, żaden *myślący człowiek nie może tego zapisać ani na benefis wojska, ani na benefis państwa*. Był to benefis narodu. Istotnie, naród we wrześniu dał z siebie tyle, ile Kantagińczycy w drugiej wojnie punickiej, ile Hellada pod Termopilami. *Tym większa szkoda, że państwo nie umiało gospodarować tym wspaniałym materiałem, jaki otrzymało*. Że nie umiało go ani *nowocześnie* uzbroić, ani *nowocześnie* wyszkolić. Że nie umiało z tyłu ofiarnych śmierci wydobyć maksimum korzyści.

A przestróg jednak nie brakło. Mniejsza o prasowe i polskie. Stanisław Mackiewicz został przecież w r. 1939 osadzony w Berezie za „podważanie wiary w siły obronne naszej armii“, właśnie po swych artykułach o motoryzacji, o czterech zmotoryzowanych dywizjach, których się domagał wbrew zdaniu organu kół wojskowych, po swych uwagach o Słowacji. Inny przykład: w „Polonii“ katowickiej, w r. 1936, w korespondencji z wojny hiszpańskiej Tadeusz Kiełpiński wypowiada pogląd, że wojna ta uczy, iż rola kawalerii i konia kończy się ostatecznie, a ich miejsce zajmie czołg i motor. W trosce obywatelskiej posuwa się do tego, iż krytykuje nasze polskie stawianie na kawalerię i niewzmacnianie broni motorowej. Cóż się dzieje z artykułem, który mógłby się ukazać w prasie kazdego europejskiego państwa? Zostaje skonfiskowany; sąd pod presją odpowiednich czynników — a wiemy, jak to wygląda — uznaje autora winnym i zatwierdza konfiskatę. Oto jak wyglądał los tych, co odważyli się mieć rację na przekór rzekomym, samozwańczym fachowcom.

Jeśli jednak słowo dziennikarskie można było traktować w ten sposób, tak wspaniale je zlekceważyć, to przecież były i przestrogi niepolskie: Abisynia pokazała, że czołg przejdzie po bezdrożach górskich — i to jakich, Hiszpania pokazała, jak się z czołgiem walczy. To wcale nie oddziały zdyscyplinowane mikołajewską wprost dyscypliną zatrzymały czołgi w dolinie Guadalajary. To były „bandy“, jakby to u nas określano, anarchistów, komunistów, ludu. Potrafiły trzymać dwa lata. Można było te metody poważnie, przez ludzi inteligentnych, przestudiować, wnioski wyciągnąć. Tymczasem tym, co o tym pisali, robili nasi dwójkarze

Prze-
stróg nie
brakło...

najbardziej lajdackie kanty. Co gorsza, z nauki hiszpańskiej nie wyciągnęli żadnej, najmniejszej lekcji. Polska zapłaciła za to krwią swoich najlepszych żołnierzy, męką, hańbą. Ci, co byli winni, zmienili tylko miejsce pobytu.

Nawet jeśli się miało mało czołgów i mało samolotów, były w Polsce wielkie możliwości obrony. Należało obarykadować i bronić każdego miasta w wojskowych walkach ulicznych. „Costa lo que costa” — jak mi mówili bohaterzy osmołeni z Ciudad Universitaria. Masowo użyty karabin przeciwpancerny, świetne dzieło polskiego technika, inżyniera, oddałby tu usługi. Ale ileż ich było, tych karabinów? Należało kontratakować co nocy, zamiast odsuwać się coraz dalej. Należało nie sprzedawać zagranicy broni pancernej, co pochwałała znowu „Polska Zbrojna“, a co krytykował znowu Mackiewicz, ale zatrzymać te działka przeciwlotnicze do obrony kraju. Należało wprowadzić pistolet automatyczny, rozpowszechnić moździerz, broń tania, łatwiejszą dla nas. Należało oprzeć łączność nie na antycznym telefonie, ale na radiu. Nie uczyniono i tego.

W Polsce
armii
nie od-
mawiano
niczego

Byliśmy wprawdzie biedni, ale byliśmy niezwykle ofiarni i niezwykle entuzjastycznie nastroszeni dla armii. W parlamencie francuskim głosowanie nad budżetem wojskowym zamieniało się w sarabandę karczemnych awantur. W brytyjskim powstawały obiekcje zasadnicze. W Polsce ten sam budżet przechodził przez aklamację. Ba, głosowało za nim nawet ukraińskie Undo! Od r. 1926 armia była faktycznie wyjęta spod kontroli sejmu. Gdybyż to tylko! Ale armia coraz faktyczniej rządziła i kontrolowała wszystko. Po politykach, co przeszli „stage“ legionowy, przy-

Kto rzą-
dził Pol-
ską i

szli po prostu wojskowi do ministerstwa spraw zagranicznych, wojskowi — do spraw wewnętrznych, wojskowi — do skarbu, wojskowi — na wojewodów, na starostów, na wychowawców młodzieży, wojskowi — do ciężkiego przemysłu. Gdzież nie było wojskowych? Jakich spraw w Polsce nie ogarniała ich „kompetencja“? Wszak obejmowała już i sprawy agrarne, gdzie toczyli zaciekle boje z ministrem Poniatowskim, i sprawy mniejszościowe, gdzie powoływali do życia nowy naród Huculów, wynaleźli 100 000 szlachty zagrodowej, nawracali na katolicyzm w pasie KOP-u, burzyli cerkwie na Chelmszczyźnie, wydawali czasopisma i książki, dożywiali dzieci, budowali luksusowe jacht-cluby, eksplorowali Madagaskar. Słowem, robili szereg rzeczy potrzebnych lub niepotrzebnych, pożytecznych lub szkodliwych, o to mniejsza, ale najniezawodniej nie należących nigdy i nigdzie do kompetencji armii. Czy to przemysłowcy z Łodzi, jak czasem sądzono, albo ziemianie z Nieświeża, jak tłumaczyli inni, rządząli w ostatnich czasach wszystkim w Polsce? Nigdy — rządząli wojskowi.

Nieskrępowanie armii prawem, oddanie państwa w jej zarząd zemściło się srodze właśnie na armii. „Moral“ wojskowy wygniwał sprawami takimi, jak okaleczenie Nowaczyńskiego czy najohydniejszy już, plamiący w oczach uczciwego Polaka honor munduru, samosąd nad Cywińskim. W Niemczech, kiedy Reichswehra próbowała rządzić albo mieszać się do rządzenia, Hitler parokrotnie i brutalnie wyperswadował jej te niewczesne, szkodliwe dla niej, pomysły. Los gen. Schleichera, zastrzelonego przez Gestapo, kilku pułkowników i majorów powystrzelanych jak kaczkę z okazji Röhma, pouczył kogo należy. (W Sowietach

wszystkim w Polsce? Czy stan ten był dobry dla państwa, a zdrowy dla armii?

Stalin nie zawahał się przed rozstrzelaniem dwóch marszałków, kilkunastu komdywów i kombrygów (generałów), nie mówiąc już o całej czeredzie pomniejszych pułkowników.) Nie przeszkodziło to armii niemieckiej w osiągnięciu niezwykłych sukcesów. I dlatego *twierdzą, że oddaje armii najgorszą przysługę ten, kto chce, by stanowiła ona o wszystkim, umieszczała swoich ludzi wszędzie, kontrolowała wszystko.* Twierdzą, że odsunięcie armii, mówiąc konkretnie — wojskowych, od tych zadań, do których ani rodzajem wykształcenia, ani zawodem się nie nadają, jest prawdziwą *usługą* oddaną właśnie armii.

I historia nasza wzniesie jeszcze pomniki temu człowiekowi w Polsce, który zerwie z tym, co się działo u nas w ostatnich latach. A obarczy straszliwą współodpowiedzialnością tych ludzi, co tego stanu rzeczy, kiedy mogli, po klęsce 1939 r., nie potrafili zmienić, okazali się na to za słabi.

Oto w czym można oddać Polsce historyczną usługę albo obciążyć własne karty najczarniejszym z błędów.

JAK WYGLĄDAŁ PLAN TEJ KAMPANII?

DYPLOMATYCZNE i gospodarcze przygotowanie wojny było więc jak najgorsze. Winne temu były przede wszystkim czynniki wojskowe, albowiem, po pierwsze, nikt tyle nie miał do powiedzenia w Polsce, co marszałek Śmigły-Rydz, po drugie, bo takie błędy polityki zagranicznej, jak sprawa Słowacji, takie spóźnienia polityki gospodarczej, jak budowanie własnego przemysłu zbrojeniowego, kiedy już na to było za późno, kiedy lepiej było u obcych zakupić broń, samoloty, dokonane zostały właśnie przy walnej ingerencji czynników wojskowych*.

Te wszystkie sprawy, choć tak podstawowe dla klęski wrześnieowej, porusza gen. Norwid-Neugebauer jedynie mimochodem. Trzyma się bowiem

Rozdział,
który w
książce
polskiego
generała
brzmi jak
akt
oskarżenia...

* Mówię: czynniki wojskowe, albowiem jest rzeczą powszechnie znaną, że marszałek Śmigły-Rydz był człowiekiem mało wybitnym, iż faktycznie poprzez niego rządziło i decydowało jego najbliższe otoczenie wojskowe. Samo zresztą przeciętne i poddające się sugestiom innych. Nie interesuję się w tej pracy, kto i w jakiej mierze oraz w jakich dziedzinach wpływał na marszałka Śmigłego-Rydza; to inne zagadnienie. Ale jak nie leży mi na sercu „oczyszczenie” b. naczelnego wodza, tak samo nie chciałbym, aby moi czytelnicy mniemali, że on i tylko on wszystkim kierował i że sam jeden jest odpowiedzialny.

bardzo ściśle tematu, jaki sobie zakresił: samej kampanii. Dla konstrukcji książki na pewno słusznie. Nie ma jednakże myślącego czytelnika polskiego, który by poza tą konstrukcją nie wybiegał, nie pytał, nie badał.

Ale oto dochodzimy z kolei do spraw, które książka gen. Norwida-Neugebauera ujęła bardzo dokładnie. To już wydarzenia wrześniowe. To to, co było we wrześniu. To kampania. A najpierw dwa plany kampanii: polski i niemiecki.

Jakżeż wygląda plan tej kampanii?

Nie posiadam niestety tego wykształcenia wojskowego, które by mi pomogło dokonać fachowej krytyki planu, z jakim nasz sztab przyjął dzień 1 września. Gen. Norwid-Neugebauer, dawny towarzysz marszałka Śmigłego-Rydza, wyraża się o tym planie możliwie powściągliwie. Ale wyraźnie przeciwstawia mu „przejrzystość celów“, jaka cechowała — jego zdaniem — plan niemiecki. O polskim powiedzieć tego nie próbuje.

Istotnie. Pobieżne nawet przyjrzenie się polskiemu „planowi“ dowodzi, że jeśli „planem“ nazywamy coś, co ma pewną myśl przewodnią, zadania, cele do osiągnięcia, to planu — nie było.

Po prostu, wzdłuż olbrzymiej granicy niemiecko-polskiej porozstawiano, jak była długa, szeroka i wygięta, to co miano wojska. Nieco za tym postawiono mgławice odwodów. To było wszystko. Zamiarem pierwszym było bronienie wszystkiego. I Śląska — bo węgiel, i Krakowa — bo tradycja, i Gdyni — bo morze, i Poznania — bo taki polski. Zamiarem następnym był odwrót w głąb kraju, na linie rzek, tj. Wisły — jak mówili jedni, Bugu — jak sądzili pesymiści. Tu należało czekać na deszcz, zimą, pomoc sprzymierzonych i dalszy bieg

wydarzeń. Oto był plan polski w swej „myśli przewodniej“.

Nie kto inny, ale gen. Norwid-Neugebauer wysuwa w stosunku do niego szereg pytań, które są szeregiem zastrzeżeń. Jest to strona tak bardzo fachowa książki, że nie próbujemy jej skomentować. Zwracamy uwagę czytelnika na co innego. Oto gen. Norwid-Neugebauer daje najwyraźniej do poznania, że owo rozstawienie wojsk wedle linii granic i owo bronienie wszystkiego było dowodem, że plan polski nie miał idei strategicznej. Na owym planie wojskowym zaważyły — jego zdaniem — inne względy. Względ na opinię publiczną. Na wrażenie, jakie wywoła w kraju oddanie Gdyni, Krakowa czy Poznania. „We wszystkich sercach polskich mogła być tylko jedna odpowiedź: Nie“ — pisze na str. 49. Ale choć wojskowy, sam dodaje: „tajemnica wojskowa jest obowiązkiem, ale nie byłoby wykroczeniem zasięgnąć opinii niektórych przedstawicieli narodu i utwierdzić się w przekonaniu, że społeczeństwo zdecydowałoby się na ofiarę przejściowego opuszczenia połowy kraju. Zmieniliby na decyzję wyboru krótszej i terenowo wygodniejszej linii obrony“.

„Krótszej i terenowo wygodniejszej.“ To znaczy takiej, która kosztowałaby nas mniej krwi przelanej rozrzutnie, Niemców zmusiła do cięższych ofiar, umożliwiła zatrzymanie ich rozpędu. Przyznaje to generał i były minister rządów pomajowych. Tragiczne wyznanie! Bo przecież po to właśnie zerwaliśmy z sejmem, aby na najważniejsze decyzje państwowe nie miały wpływu nastroje powszechne, opinie mas, ale jedynie „względy rzeczowe“. Okazało się jednak, że gdy przyszło do decyzji najważniejszej, ugięto się wobec nastrojów najpowszechn-

niejszych. Może szlachetnych, ale najgłupszych. Liczono się z nimi. To nas kosztowało. I minister rządów pomajowych uważa dzisiaj, że trzeba było omówić te sprawy z przedstawicielami narodu, że wtedy można było uzyskać poparcie, wytłumaczyć społeczeństwu odwrót.

Kogo ma na myśli gen. Norwid-Neugebauer „przedstawiciele narodu“? Mam nadzieję, że nie płk. Wendę, nie mjr. Galinata i nie „Ozon“. Myślę, że mowa jego jest żołnierska i że ma na myśli prawdziwych przedstawicieli narodu, tj. takich, których sam naród w sposób nieskrępowany wybrał. Jeżeli tak, to nigdy jeszcze instytucja parlamentu nie została uznana za tak pożyteczną, jak w owym skromnym zdaniu pomajowego ministra. To znaczy, że rządząc wspólnie z przedstawicielami narodu można było w pewnym momencie oddać wrogowi połowę ziem polskich i jednak nie załamać tym psychiki narodu. Można było wykonać plan wojskowo lepszy. A przeciwnie, rządy wojskowe, które nie uznawały przedstawicieli narodu, nie znalazły w sobie dość mocy, by wykonać taki plan wojenny, który by zmusił wprawdzie do bolesnego psychicznie odwrotu, ale za to dawał szanse walki planowej czy skutecznej.

Dochodzimy tu do następującego wniosku.

1. Czynniki wojskowe uważały, że najlepszym planem strategicznym byłoby wycofanie się dalekie w głąb, oparcie się na liniach rzek.

2. Liczyły się jednak z reakcją społeczeństwa, które oddania bez walki Krakowa, Śląska, Gdyni i Poznania łatwo by nie zniosło.

(Np. owe „nastroje społeczeństwa“ wywołały i rozdmuchały one same. Jeśli niepoczytalne pisma rządowe i nieodpowiedzialni publicyści rządowi tak

Kadzidła
wreszcie
zadławia

długo wmawiali narodowi, że mamy arcygenialnego wodza, znakomitych dowódców, zapiętą „na ostatni guzik“ armię, pełne arsenały, to tą *bezmysłną robotą, nakazaną z góry, utrudniali zadania armii*, nie przygotowywali narodu. Przemowa Churchilla po objęciu władzy, z zapowiedzią trudu, znoju, łez i krwi, była lepszą lekcją wychowawczą. O tylko, wielcy dumnie albo wielkie łajdaki mogą rezonować wzniośle: „nie mamy się czego uczyć od obcych!“)

W rezultacie planu nie było. Była nakazana walka na granicach z cofaniem się w głąb kraju, ku nowym liniom obronnym. Ustalając to sztab polski zapomniał o dwóch rzeczach. O tym, że niemieckie kolumny zmotoryzowane posuwają się szybciej niż piechota polska i że szybciej niż ona dotrą nieraz do „nowych linii“. A dalej i o tym, że żołnierz polski jest znacznie lepszy w natarciu niż w odwrocie...

W ten sposób, w owym kompromisowym półplaniu, z jakim nas zastał wczesny świt września, nie doceniliśmy i właściwości przeciwnika, i właściwości naszego żołnierza.

NAJTRAGICZNIJSZY MIESIĄC HISTORII POLSKI

Gdy mszczą
się na
strategii
zaniedbania
techniczne...

TRZON książki gen. Norwida-Neugebauera poświęcony jest, niestety, nie owej „licytacji“ przedwrześniowej, jaka poprzedziła kampanię, tak jak w bridżu licytacja poprzedza rozgrywkę, a właśnie rozgrywkę, czyli samej kampanii. Ci wszyscy, którzy rozumieją wraz ze mną, że kampania wrześniowa nie została przegrana we wrześniu, ale przed wrześniem, zapewne odczują tu zawód.

Albowiem owa kampania, nie przygotowana wówczas, pozbawiona jasnego, konsekwentnego planu, ma ogromnie mało walorów, jeśli chodzi o strategię. Jak mało walorów strategicznych przedstawiały walki Europejczyków z plemionami najbardziej bohaterskich Indian w Ameryce, tak samo bez znaczenia strategicznego musi być każda walka, gdzie dysproporcje uzbrojenia sprawiają, że o zwycięstwie decyduje nie genialność dowodzących, a wyższość techniczna ich oręża. W r. 1920 mogliśmy marszem na Siedlce zająć na tyły armiom sowieckim z przedpola Warszawy i Płocka, albowiem i my, i oni znaleźliśmy, jako środek przerzucania mas wojska albo miłego konika, albo tyle sławione jeszcze wciąż w pieśni żołnierskiej „własne nogi dwie“. Sytuacja była wyrównana. Ale w 19 lat później nowy nasz przeciwnik przerzucał motorami

Inny
i oni.

ogromne siły swego wojska w tempie takim, że wobec niego najmądrzejsze nawet myśli strategiczne były skazane z góry na niewykonanie. Samolot dokonywał reszty. Napoleon niewiele by wskórał wobec przeciwnika uzbrojonego w karabin maszynowy! Być może, że na naszych grach wojennych wykrzesaly się jakieś wielkie talenty strategiczne. Ale karygodne, niechlujne, kołtuńskie zlekceważenie nowoczesności, wynalazku, myśli ludzkiej jako środka do wygrywania wojen, przez wielbicieli drylu, pomściło się fatalnie na nich samych. Nie mogli nigdy rozwinąć swych talentów w sposób szerszy. Kto wie, może strategicznie niejeden z naszych generałów nie był gorszy od niemieckich? Nie dowiemy się tego nigdy: bo niemieccy, niestety, dali lepszy od naszego dowód zrozumienia, czym jest technika współczesna, nauka i myśl w służbie wojny.

Natomiast każdy z zainteresowaniem przeczyta te luźne uwagi, jakie przy omawianiu chronologii wypadków poświęca gen. Norwid-Neugebauer dowodzeniu naczelnego wodza. Uwagi te cechuje niewątpliwie najszlachetniejsza powściągliwość w krytykowaniu pokonanego. A jednak trudno jest nie wytknąć tego, że naczelnny wódz scentralizował szkodliwie dowodzenie w swoim ręku, że rozkazy parokrotnie odwoływał i cofał, że zastrzegłszy sobie decyzję w sytuacji, która raczej wymagała paru ośrodków decydowania, na różnych odcinkach frontu, sam czynił z niej użytek w sposób jak najdalejszy od zdecydowania.

Pod tym jeszcze względem wydaje się, że naczelnny wódz tej kampanii nie korzystał z taktyki marszałka Piłsudskiego. Marszałek, człowiek o niezwykłej osobowości, właśnie dawał podkomend-

Śmigły-Rydz;
decyzje odwoływane,
cofane i zastrzeżone

nym ogromnie wiele wolnej ręki. Był on raczej zwolennikiem koncepcji Moltkego starszego, który swym dowódcom armii zostawiał szeroki margines do własnych decyzji, niż Napoleona, który centralizował decyzję we własnym ręku i nawet swoim marszałkom dawał minimum inicjatywy własnej. Dzieje odwrotu z Kijowa były klasycznym przykładem tej moltkowskiej taktyki marszałka. Śmigły-Rydz uważał jednak widocznie, że łatwiej mu pójdzie naśladowanie Napoleona niż naśladowanie Piłsudskiego.

Kto wie; zagadnienia osobowe mają wpływ wielki. W Polsce było dwóch generałów, których Śmigły-Rydz prześcignął w swojej karierze. Gdyby byli powołani na czas do armii, zapewne liczyłyby się z ich zdaniem bardziej niż z poglądami swoich wychowanków, od niedawna ozdobionych generalskim wężykiem. Sikorski, postawiony na czele np. armii północnej, miałby wtedy może de facto większy zakres samodzielności? Sosnkowski, postawiony w Poznaniu, może działałby jeszcze skuteczniej niż potem nad Wereszczyną?

Ale marszałek Śmigły-Rydz uważał, że Polskę we wrześniu 1939 r. stać w pełni na luksus pozostawienia dwóch najdoświadczeńszych generałów polskich w jak najdalszym odwodzie.

*

*

*

Wojna nie przygotowana, rozpoczęta z „planem“, który miał wszystkie złe strony kompromisu pomiędzy tym, czego wymagało położenie i strategia, a tym, co dyktowały nastroje, dała od pierwszych dni niewstrzymany ciąg klęsk.

Wojska niemieckie rozpruły front polski na każdym kierunku uderzenia. Niemieckie oddziały zmotywowane z Opoła znalazły się dn. 6 września o kilkadziesiąt kilometrów od Wisły; wojska polskie, cofające się z Poznania, by zatrzymać się na tejże Wiśle, były oddalone od niej o 150 km. Wojska polskie mogły więc dojść do Wisły najwcześniej za trzy dni, wojska niemieckie najpóźniej za sześć godzin.

W tym momencie naczelny wódz opuszcza stolicę w kierunku na wschód.

Nie mamy zamiaru twierdzić, że zawsze i wszędzie naczelny wódz ma trwać w stolicy. Tak samo jak wcale nie uważamy, że zawsze, w razie klęski, naczelny wódz powinien ginąć. Książę Poniatowski oddał Warszawę Austriakom w r. 1807, Jan Kazimierz oddał ją Szwedom w r. 1655. Poczytajmy jednak, co o tym sądzi gen. Norwid-Neugebauer (str. 84—85), a wtedy trudno będzie nie przyznać racji jego słowom krytycznym. Wszystko, istotnie, wymagało właśnie wtedy bliskiej obecności naczelnego wodza. I plan akcji, by wojska poznańskie wpadły na tyły owych zapędzonych nad Wisłę i oderwanych od własnej piechoty kolumn motorowych; i взгляд na trudności porozumienia się z kwaterą główną — i tak już wielkie, tym większe w razie przenosin, które stały się potem wielokrotne. I wreszcie взгляд na opinię kraju. Brał go pod uwagę marszałek Śmigły-Rydz jeszcze parę tygodni temu, kiedy porozstawiał wojska wzdłuż granic, a nie na jakiejś linii obronnej, aby społeczeństwo nie powiedziało, że oto oddaje Kraków, Poznań czy Gdynię. Kosztowało nas to wiele ofiar daremnych. Opinii kraju nie wziął pod uwagę wtedy, gdy cho-

Ten, który
otworzył
raid na
Zaleszczyki.

dziło o niego samego. Tym razem ofiary były mniejsze.

Wódz pozostający w mieście frontowym, bombardowanym, byłby wodzem nieszczęsnym, lecz mężnym. Dowodów przewidywania, energii, rozumu, decyzji nie dał. Mógł dać jeszcze jedną rzecz — przykład męstwa. Tego nie dał także. Pozostawił armie walczące na przedprożu Warszawy, nad „smutną rzeką Bzurą“, pod Kutnem toczących bój rozpaczny. Jakieś Maciejowice rozwleczone nie na jeden, ale na szereg dni. Jakaś Małogoszcz idącą w setki tysięcy. Tu generałowie i pułkownicy nie poszli śladami swego marszałka. Odpowiedzialni w znacznie mniejszym stopniu za nieprzygotowanie armii, czasem nawet i nie odpowiedzialni — wzięli na siebie chłostę wojny. Czuli może, czego nie czuł Śmigły-Rydz, że owo nieprzygotowanie wojenne zapamięta nieszczęśliwy naród. Ci odgradzili się od Zaleszczyk. Ginąc w szarżach kawaleryjskich na czołgi niemieckie, popełniali samobójstwo heroiczne, harakiri samurajskie za to, co było. Bo doprawdy, jeśli kto mówi, że była to „najkrwawsza dla Niemców bitwa w całej dotychczasowej wojnie“, nie wolno zapominać o tym, że owa bitwa, tak krwawa dla Niemców, była dziesięciokrotnie tak krwawa dla Polaków. Żołnierz polski, mając przeciwko sobie samoloty, czołgi, olbrzymią przewagę artyleryjską, piechotę nie wyniszczoną uciążliwymi marszami, walczył nieraz bez takich pomocy, jak kuchnie, lazarety, uzupełnienia amunicji. W tych warunkach trzeba wiele uporów, by szukać w tym morzu krwi jakiegoś strategicznego manewru, jakiejś myśli wodzowskiej. Nie była to bitwa wojenna. Była to narodowa, dobrowolnie przyjęta na

Rzeź pod
Kutnem

siebie rzeź. Straszliwy Sedan bez kapitulacji. Tragiczne Waterloo bez Napoleona. Maciejowice, od tamtych stokroć krwawsze. Biała Góra żołnierza polskiego.

Nieraz bowiem to już on tylko dowodził. Ostatnim dowódcą obrony Sochaczewa nie był żaden generał, żaden oficer. Był nim — pisze gen. Norwid-Neugebauer — jakiś starszy strzelec. A obrona Sochaczewa — pisze płk Roman Umiastowski w nr 57 „Wiadomości Polskich“ — była ogromnie ważnym zadaniem...

CO SĄDZI RZECZOZNAWCA WOJSKOWY O DECYZJI NACZELNEGO WODZA

*A gdy zagrzmi nad miastem dział huk,
On rycerzy ginących porzuci;
Z arki kraju wyleci jak kruk,
Strząśnie skrzydła, do arki nie wróci...*

„W dziwnej
sytuacji”

Jest to wiersz Słowackiego, mówiący o gen. Krukowieckim, który oddał Warszawę wojskom kniazia Paskiewicza-Erywańskiego we wrześniu (fatalny miesiąc) 1831 r. I jego, i Czartoryskiego, i innych wodzów powstania potraktował polski poeta bardzo surowo. Nikt mu jednakże wtedy nie powiedział, że nie ma prawa o tym mówić, bo to nie jego, ale wojskowych sprawa i że poeta na tym się nie zna. Sto lat temu społeczeństwo i emigracja polska były na zbyt wysokim poziomie umysłowym, aby występować z tak niedorzecznymi zarzutami i robić ze świeżej klęski „tabu“, o którym wolno wypowiedzieć sędy wyłącznie generałom. Jednak ówczesne oddanie nie było ani w części tym, czym przekroczenie granicy rumuńskiej przez naczelnego wodza dn. 17 września 1939 r.

Znowu jest to sprawa, którą omawia gen. Norwid-Neugebauer *wyłącznie* z punktu widzenia wojskowego. I właśnie z punktu widzenia wojskowego

najwyraźniej ją potępia. „Wojsko polskie — pisze swym powściągliwym obyczajem na str. 130 — znalazło się w dziwnej sytuacji. Pozbawione jest naczelnego dowództwa. Skąpa w ostatnich czasach orientacja o ogólnej sytuacji ustaje zupełnie. Armie działają wedle otrzymanych poprzednio dyspozycji i pośrednio przekazanych wskazówek z dn. 15 września.“

Ale wojskowe omówienie tej sprawy *nie wyczerpuje jej*, tak samo jak omówienie kampanii wrześniowej dokonane z punktu widzenia czysto wojskowego jest omówieniem zbyt ciasnym, zbyt skąpym, omówieniem, któremu brakuje clausewitzowskiej szerokości ujmowania spraw wojennych. W czasach kiedy wojna jest totalna, tzn. nie tylko wojskowa, ale psychiczna, społeczna, gospodarcza i jaka jeszcze — taki sposób zacieśniania omówienia jest anachronizmem tej samej klasy co lanca ułańska, piechota bez czołgu i bagnet w epoce pistoletu automatycznego. Po wsze czasy zresztą zachowanie się naczelných wodzów było przedmiotem rozważań pozawojskowych.

A istotnie, jak powiada gen. Norwid-Neugebauer, wojsko polskie znalazło się „w dziwnej sytuacji“. Nie tylko zresztą wojsko. Cała Polska, jej armia, jej naród znalazły się w rzeczy samej w sytuacji, którą chcąc nazwać najłagodniej w świecie, można nazwać co najmniej sytuacją „dziwną“. Takiej sytuacji — wiedziało o tym każde dziecko polskie — nie miała bowiem Polska w toku tysiąca lat swej historii. Ta Polska pamiętała, że jeden jej król i naczelný wódz poległ na czele swych szyków na polach bałkańskiej Warny, a jego ojciec w walce na polach Grunwaldu narażał życie. Polska pamiętała męstwo swych królów na polu walki. Pa-

Tego Polska
dotąd nie
miała

miętała ich kłęski chwały pełne. Pamiętała, że siwowłosy Stanisław Żółkiewski, hetman wielki koronny, padł na polach Cecory, że sędziwy Jan Karol Chodkiewicz, hetman wielki litewski, zmarł w obleżonym i prochów pozbawionym Chocimiu, że Stefan Czarniecki brał buławę na łożu śmiertelnym w polu, że syn hetmański zginął pod Żółtymi Wodami, a dwaj hetmani dostali się pod Korsuniem do niewoli kozackiej. Prawda, były i Piławce. Ale pozostały po wiek wieków synonimem hańby. Wieczną plamą na szlachcie polskiej pozostanie pamięć owego obozu, z którego uciekano w panice, pozostawiając srebra, dywany cenne i mienie na łaskę czerni. Ale nowa szlachta rządząca nową Rzeczpospolitą sreber i dywanów nie zostawiała. Wiozła je z sobą.

Polska miała nie tylko tak dalekie wspomnienia. Jeden z jej naczelnych wodzów podniesiony był półmartwy na polach Maciejowic, z ośmioma ranami od spis kozackich. Inny, ranny parokrotnie, zatonął w nurtach Elstery. Inwalida z nogą drewnianą, generał napoleoński, padł w kościółku na Woli. Traugutt zawiśł na szubienicy. Takie rzeczy nazywał marszałek Piłsudski „imponderabiliami“. Takich imponderabiliów wymagała Polska dn. 17 września 1939 r. Do rozporządzenia naczelnego wodza było jeszcze owego dnia sześć samolotów. Mógł udać się nimi do bohaterkiej Warszawy, mógł przedostać się nad Wereszczyce. (Najwięcej mający władzy, największym cieszący się ongi posłuchem u narodu, największą dźwigający odpowiedzialność był najbardziej winny. Jeśli się mówi o błędach dyplomatycznych Becka czy gospodarczych Kwiatkowskiego, to zapominać nie można, że jeden wyraz woli marszałka Śmigłego-Rydza wystarczał do

usunięcia ich w ciągu dwudziestu czterech godzin. Mógł. Nie chciał. To znaczy akceptował.)

Taka decyzja naczelnego wodza nie byłaby zapewne strategiczna. Ale byłaby polityczna i heroiczna. Gdyby zginął, byłby tragicznym bohaterem szekspirowskiej miary. Gdyby dostał się do niewoli, byłby ekspiował. Rząd limuzyn walących do Rumunii byłby wtedy przesłonięty tym marszałkowskim gestem. Stało się inaczej. Kondukt zaleszczycki otwierany Packardem naczelnego wodza przeszedł, niestety, do historii Polski. A ponieważ sąsiaduje z Warszawą, z Helem, z walką kobiet i dzieci nieletnich, jest tym straszliwszym wyrzutem.

Śmigły-Rydz przegrał swą rolę w historii Polski. Pewnie, że w odróżnieniu od tylu krajów, które na tym źle nie wyszły, Polska nie miała szubienic, nie stawiała gilotyn i w Polsce zawsze wszystko rozlażło się — niestety! — po kościach. Nie; nic nie grozi byłemu naczelnemu wodzowi. Ale nawet najgorętsze krzątanie się, puszczanie plotek, doklekanie legendy przez tych, co przy nim robili kariery, niewiele już pomoże! Na to, by naród polski mógł wybaczyć Rydzowi, musiałby i sam spodleć. A bohaterstwo, jakie nasz naród okazał podczas tej właśnie wojny, jest dowodem, że na spodlenie Polaków jeszcze się nie zanosi.

I tego jednak Polska nie zapomni

CZEGO NAS UCZY KLĘSKA WRZEŚNIOWA

WYDANIE książki gen. Norwida-Neugebauera, choć książka ta ujmuje temat tak zawodowo, tak wąsko, choć jest ogromnie powściągliwa w swych sądach i krytykach — jest zjawiskiem bardzo szczęśliwym.

Mylą się bowiem ci, co sądzą, że uda się stłumić w opinii publicznej wszelkie rozmyślanie na temat Września albo też, że uda się to przedstawić jako wzór postępowania na przyszłość. Nie można zapobiec, aby ludzie nie myśleli i nie mówili o Wrześniu. I rozumny człowiek będzie wolał, aby dyskusja o tym toczyła się w pełnym świetle dziennym na przewiewie odmiennych zdań, wypowiedzianych z argumentacją i umiarem, niż w tajni zakamarków, niezdrowym odorze plotek i bajań. Lepiej o tym pisać otwarcie.

Jeśli chodzi o ocenę Września, prawdopodobnie najtrafniejsza formuła byłaby następująca: naród zdał egzamin ze swego bohaterstwa jak najwspanialej; rządzący ze swych zdolności państwowych zdali fatalnie.

Spoleczeń-
stwo

Albowiem, jeśli podnosimy plusy kampanii wrześniowej, mówimy zawsze o heroizmie żołnierza czy oficera polskiego, o bezprzykładnym męstwie kobiet i dzieci, o harcerzach broniących Katowic, kiedy już armii nie było, o kosynierach

Gdyni, o ludzie warszawskim. To wszystko dał naród. Konkretnie dała to polska rodzina, polska matka, polska szkoła powszechna i polska tradycja. Państwo i armia otrzymywały od narodu obywatela i rekruta, wychowanego w idei czynnego patriotyzmu, a nie pacyfizmu, jak np. we Francji. Jeśli ten żołnierz potem ginął heroicznie, a nie uciekał, było to zasługą narodu.

Gorzej zdały egzamin agendy polskiego państwa. Przede wszystkim ci, co mieli przygotować wojnę. Nie umiano u nas żołnierza odpowiednio uzbroić; nie umiano korzystać z lekcji sąsiadów, z przykładu wojen i kampanii lat ostatnich; nie umiano przestawić naszej gospodarki na potrzeby zbrojeniowe; lekceważono zdobycze techniczne i ich rolę w wojnie; nie było koncepcji wojennej; nie było planu; nie było informacji o planach sąsiadów, jak chociażby Rosji. Nasz wywiad, mimo zręcznej reklamy, jaką się zawsze umiał otaczać, znacznie mniej inteligentnie pracował poza granicami państwa, niż w intrygach wewnętrzнопolskich, tak go niestety absorbujących. *Otóż tych olbrzymich błędów, popełnionych przez rządzących, nie wolno bronić heroizmem narodu.* Jeśli w obronie Warszawy ginęły kobiety, a za obronę Katowic rozstrzeliwano dzieci polskie, to zasłanianie ich heroizmem owego raidu limuzyn na Zaleszczyki byłoby doprawdy świętokradztwem. Jakże to więc? Ich śmierć, która nastąpiła właśnie z *winy* nieprzygotowania tamtych, miałyby jeszcze na dodatek bronić honoru tych, co mogli wszystko, nie zrobili nic i uciekli? Czy to jednak jest zupełnie w porządku?

Chyba nie. Heroizm kobiet i dzieci, ludności cywilnej i ochotników nie może służyć za parawan najhaniebniejszym stronicom naszej historii. Było

Chytry
wybieg:
zasłanianie
własnych win
bohater-
stwem —
cudzym.

jedno i było drugie. To, co naród dał rządzącym, stało na wyżynach bohaterów Plutarcha. To, co rządzący zrobili z tym, co dał naród, osiągnęło dno upadku historii Polski.

Upadek dawnej Polski w XVIII w. był kompromitujący jeszcze bardziej dla narodu niż dla państwa. Ówczesny rozkład państwa był skutkiem rozkładu narodu, jego spodlenia w jurgieltach, jego ciemnoty, jego niechęci do walki, Kościuszko, zwolennicy trzeciego maja znajdowali się w znacznej mniejszości. Państwo musiało upaść, skoro jego ludzkie podstawy były przegniłe.

Upadek Polski w w. XX był kompromitującym nie dla narodu, ale dla rządzących. To rządzący nie umieli wyzyskać tego, co tak ofiarnie niósł obywatel, ilekroć powiedziano mu, że wolność tego wymaga. To rządzący odsunęli tego obywatela od głosu. Oni zmarnowali jego heroizm. Pod jarzmo popadł nie naród przegniły, ale zdrowy jak mało który w Europie. I to właśnie było tragedią Września.

*

*

*

Na Wrzesień należy patrzeć jak na wielką lekcję historii.

Czegóż ona nas uczy?

Uczy nas tego, że nie wystarcza heroizm narodu.

Nie wystarcza ginąć, nie wystarcza dawać na F. O. N.; trzeba mieć wgląd w rządzenie państwem

Konieczne jest dobre operowanie tym heroizmem przez państwo. Uczy nas, że państwo nie kontrolowane przez naród nie wychodzi na tym dobrze. Uczy nas, że można najofiarniej łożyć na armię, ale że to nie wystarcza. Trzeba, by obywatel badał, jak armia zużytkowuje owe nakłady, czy buduje za nie armaty, czy jacht-cluby augustowskie.

A wreszcie uczy jednej jeszcze rzeczy. Jak fatal-

ne są rządy wojskowe. Jak złym systemem jest wydobywanie z kadr oficerskich premierów, ministrów, dyrektorów i starostów. Fatalnym dla kraju i dla armii. Anachronizmem, który jest obcy i państwu demokratycznemu, i ustrojom totalnym, a który pojawia się chyba tylko w tworcach półtotalnych, czy ściślej mówiąc, policyjnych. Jest to schorzenie polityczne. Ciężki, niebezpieczny ropien. Tym niebezpieczniejszy, że trudny potem do usunięcia.

Armia może wynieść z tej srogiej lekcji dziejowej bardzo wiele korzyści. Może ocenić w pełni, czym jest zastosowanie nowoczesnej techniki, nauki, fachowości, do wojny i do wojska. Może program wyszkolenia w armii oczyścić z zabytków zeszlowiecznych. Może wyszkolić żołnierza piechoty raczej do kroczenia wespół z czołgiem niż marszerowania paradnym krokiem na defiladzie. Może z tego żołnierza czynić kierowcę samochodowego i radiotechnika, i spadochroniarza, obznajmić go z obsługą czołgu i miotacza ognia. Może wykształcenie oficerskie wesprzeć dyplomem inżynierskim z tej czy owej dziedziny. Może wyciągnąć konsekwencje z tego, że jeden żołnierz w lotnictwie ma się dzisiaj w stosunku do jednego żołnierza w piechocie, jako wartość wojenna, jak 100 do 1. I położyć cały nacisk nie na kawalerię, która z całym swym heroizmem tyle nas kosztowała, a tak mało nam dała, nie na ulubioną piechotę, ale na broń motorowe, pancerne, lotnictwo. Już teraz. Właśnie teraz. Oto jak armia może skorzystać z lekcji Września.

Może z niej również i nie skorzystać. W Polsce niejedna nauka poszła już w las! Możemy dalej lubować się w koniku, defiladzie, w mustrze. Możemy

Zbawienne
nauki dla
armii

dalej cierpieć na przerosty sztabów. Hodować olbrzymie brzuszyśka kosztem młodych mięśni. Możemy dalej uważać to, co było, za ideał, do którego trzeba wrócić jak najspieszniej. Dalej patrzeć z pogardą na czołg, na samolot, na radiowy „dru-cik“ i nie chcieć nic wiedzieć o nowych broniach. Wszystko oprzeć na dyscyplinie, możliwie odrucho-wej i bezmyślnej. Możliwie mechanicznej.

Jeśli pozosta-
nie to samo,
powtórzy się
także to
samo.

Niestety, nie wszystkie mózgi są zdolne do tego, by brać naukę z doświadczeń! Ale są jeszcze poza tym ludzie młodzi i ludzie, którzy przemysłili Wrzesień. Ci właśnie mają tedy obowiązek prze-ciwstawić tamtemu konserwatyzmowi jednolitą po-stawę. Choćby ich rola była nie wiedzieć jak mała. Należy w naszej opinii publicznej — a tą jest każ-dy Polak — szerzyć właściwy pogląd na przyczyny klęski wrześniowej, domagać się w każdej dostę-pnej formie unowocześnienia armii, zwalczać w każ-dy możliwy sposób — krytyką, polemiką, ośmie-szaniem, dyskusją — wszystko, co służy kontynu-o-waniu starych metod, starych wad, starych obyca-jów i co może poprowadzić Polskę tylko do nowej klęski.

Zadanie takie spoczywa dzisiaj na każdym Pola-ku. Niech pamięta on, że jest to walka o przyszłość Polski, że za nim stoi cały Kraj, który mówić nie może, i cierpi. Że za nim stoją ci wszyscy, którzy we wrześniu 1939 r. dali swą krew tak ofiarnie i których zgon bohaterski mógłby być wojskowo wyzyskany o ileż lepiej.

Myśl, mów, czyn.

Miej odwagę swego zadania.

Inaczej nawet ta klęska narodowa nie ocuci na-rodu, i nasze dzieci za lat dwadzieścia ten sam los spotka.

1000 MIL OD PRAWDY

*(na marginesie książki
płk. Romana Umiastowskiego
„12 mil do Warszawy... 30 mil do Paryża”)*

Plk Roman Umiastowski, znany niejednemu z warszawskiego radia, wydał broszurę „12 mil do Warszawy... 30 mil do Paryża“*, która ma być polemiką z moimi wywodami o Wrześniu (w recenzji z książki gen. Norwida-Neugebauera). Niestety, nie jest to dyskusja. Co do mnie bowiem, to w moich artykułach postawiłem jasne, wyraźne tezy. Powiedziałem, że do wojny byliśmy nieprzygotowani, a nawet źle przygotowani, polityką zagraniczną, polityką gospodarczą, a wreszcie polityką wojskową. Powiedziałem dalej, że czynnikami, które rozstrzygały o naszych sojuszach zagranicznych, o naszym życiu gospodarczym, ba, o wszystkim w Polsce, były czynniki wojskowe. Powiedziałem wreszcie, że niemal każde państwo europejskie miało swoją koncepcję obronną, że szło albo na motoryzację, albo na linię Maginot, albo na to i tamto; dodałem, że Polska jedna nie miała ani motoryzacji, ani linii Maginot. Wreszcie powiedziałem, że nieszczęściem wojska w Polsce było to, że zajmowało się ono wszystkim. Tam dożywiało dzieci, ówdzie budowało kościoły, jeszcze gdzie indziej nawracało na katolicyzm (Wołyń) albo burzyło cerkwie (Chełmszczyzna). Były to rzeczy złe lub dobre, o to mniejsza,

Żadnej z tych tez nie zdołano obalić.

* Roman Umiastowski. „12 mil do Warszawy... 30 mil do Paryża“. Edynburg, 1941; str. 47 i nl.

ale były to rzeczy, które uwagę i działalność wojska odciągały ku innym zupełnie dziedzinom. Powiedziałem, że większość budżetu wojskowego nie szła na oręż, na zbrojenia, na czołgi, ale na wydatki osobowe i inne, nieraz co najmniej bardzo luźno związane z obroną kraju. Żałuję, że nie mogę zapatrzeć mojego artykułu w zdjęcia oficerskich jacht-clubów, tego w Warszawie, a zwłaszcza tego na jeziorach augustowskich, promieniejącego całą krasą reprezentacji, pełnego granitów, marmurów, kowanych żelaz — niczym luksusowe sanatorium zagraniczne. Powiedziałem, że w takich sprawach, jak pobicie Nowaczyńskiego, jak dziesiątek innych spraw tego typu honor oficerski — ten sam, o którym niezbyt katolicko powiada płk Umiastowski, iż jest „Bogiem Wojska“ — wygniwał. Bardzo żałuję, że płk Umiastowski nie zajął się tym moim ostrym wyrażeniem o jego Bogu i że nie objaśnił nam, czy armia polska zyskała na tym, że pisarza tej miary co Nowaczyński jacyś niegodni munduru zbrodniarze katowali w gliniankach, czy też, że to jednak nie przysporzyło chwały mundurowi polskiemu. O tym jednak, jak i o wielu innych rzeczach, bardzo wyraźnych w moich wywodach, wolał przezorny płk Umiastowski nie rozpocząć dyskusji. Znacznie wygodniej było odbiec od tematu, ile tylko i gdzie się tylko dało. A przy iście zaleszczyckich zdolnościach odbiegu, jakie ujawnia płk Umiastowski, udało mu się to znakomicie. Pisze o tym, jak pięknie wypadło święto pułkowe w jego okolicy; i jaki to on piękny film nakręcił o wojnie w Hiszpanii; i o tym, że p. Krzysztof Nienaski nieładnie pisze o Mościckim; i o tym, że on sam ofiarował z kolegami kilkadziesiąt funtów na biedne dzieci angielskie; i o tym, że po-

winiem pisać o poległych generałach i majorach; i o tym, że sam pisał fantastyczne powieści; i o tym, że był w Grecji; i o tym, że Hitler wyznaczył nam miejsce na Uralu; i o tym, żeby „pa-trzyć przed siebie“. Jest to w rzeczy samej *dosko-nale pokaz*, jak wymigać się od odpowiedzi, jak przeprowadzać jedynie częściowe natarcia, jak mówić o czym innym, a wreszcie umaić wszystko szeregiem tak pełnych treści haseł, jak „wszyscy do żagli i dział“, jak „milczcie, ludzie słabi“, jak „z tym za burtę“. Podziwiać należy w tym wszystkim olbrzymią pewność siebie płk. Umiastowskiego, że nikt jego samego za burtę kiedyś nie wyrzuci.

A jednak to wszystko, co płk Umiastowski napisał i wykrzyknikami tak sowiecie opatrzył, nie na wiele się przyda. To wszystko nie zmienia bowiem w niczym tej jednej wielkiej i prostej prawdy, że Polską od szeregu lat rządzili wojskowi, że wojskowi byli na najważniejszych, najbardziej decydujących stanowiskach w państwie. Oni siedzieli w dyplomacji z płk. Beckiem i z dziesiątkami kapitanów Drymmerów, Ryszanków, Zarychtów i in.; oni siedzieli w przemyśle zbrojeniowym, w COP-ie, w przemyśle łódzkim i śląskim, w radach nadzorczych, w kontraktach, oni wojowali z cywilem Kwiatowskim. To wojskowi ze Sławojem-Składkowskim siedzieli w prezydium rady ministrów i w ministerstwie spraw wewnętrznych, to oni z płk. Kostkiem-Biernackim, płk. Bociąńskim, mjr. Świtalskim, płk. Beliną-Prażmowskim, płk. Kirtiklisem i dziesiątkami, setkami innych siedzieli na stolcach wojewódzkich, starościńskich, na *tysiącach* cywilnych posad, stanowisk, urzędów, nieraz tworzonych specjalnie dla nich. To wojskowi kie-

Kto Polską
rządził?

rowali stale życiem gospodarczym Polski, z gen. Zarzyckim i mjr. Rajchmanem, z gen. Góreckim i mjr. Gruberem, z płk. Kocem i gen. Maciszewskim, z setkami pomniejszych, sprawowali kontrolę państwa — ładnie też ona wyglądała, ta kontrola! — poprzez gen. Krzemieńskiego, to oni załatwiali sprawy motoryzacji, a załatwiali ją w sposób, który czynił z Polski kraj bez samochodów, co wytykała cała prasa polska z jednym jedynym wyjątkiem — „Polski Zbrojnej“, organu wojskowego. Oni zajmowali stanowiska, na które czekał w administracji wyszkolony uniwersytecko młody prawnik — *daremnie*, oni zajmowali w przemyśle dyrektorskie stanowiska, na które czekał wyszkolony technicznie młody inżynier — *daremnie*, oni zajmowali w dyplomacji stanowiska, na które czekał młody wykształcony prawnik — *daremnie*, oni przekształcili całą organizację państwa nie na sprawny sztab obsługi, bogacący się w najlepsze siły fachowe, ale w jakieś przytulisko dla tych, których albo uważano w wojsku za słabych, albo którym ambicje polityczne kazały szukać sobie szerszego poligonu do popisu. Z wyjątkiem Wenezueli, Costa-Riki, Kuby i Ekwadoru oraz rej wiodącego tu Meksyku, żadne państwo na świecie nie posiadało takiego systemu rządzenia. Ale też żadne nie zapłaciło za to tak srogo. Mimo wszystkich wyzwisk i odbiegań od tematu tego faktu płk Umiastowski nie zatrze w opinii polskiego czytelnika. Rządzili Polską wojskowi. I mimo wszelkich wywodów swoich nie wytłumaczy rozumnemu czytelnikowi, że rządili oni dobrze. Tak samo jak nie wytłumaczy już nikomu, że za swoje rządy nie są odpowiedzialni.

Chaotyczność broszury tego klasycznego pułkow-

nika, który podczas wojny nie dowodził pułkiem, ale przemawiał przez radio, a w czasie pokoju także nie dowodził pułkiem, czy też dowodził nim na marginesie tak wojskowych zajęć, jak nakręcanie filmów lub pisanie powieści, nie pozwala mi niestety ułożyć mej odpowiedzi w pewien metodyczny wykład. Chaotyczność ta jest zresztą tak doskonałym sposobem mącenia wody, że sam bym w nią wpadł, gdybym miał iść punkt po punkcie za myślą płk. Umiastowskiego. Ograniczyłem się więc w polemice do podzielenia całego jego багаżu na kilka odrębnych kategorii:

- 1) gdy płk Umiastowski totalnie mija się z prawdą;
- 2) gdy płk Umiastowski jedynie ją wynacza;
- 3) gdy wysuwa materiał do dyskusji.

Oczywiście musiałem tu pominąć przebogaty materiał, gdy płk Umiastowski insynuuje, bawi się w personalia, poucza, monituje, napomina, czyniąc to z takim namaszczeniem, jakby sam był ojcem ojczyzny chodzącym w sławie swych kryształowych zasług, a ja — krnąbrnym żakiem. Studia nad tym należałoby poruczyć naukowym badaczom tupetu; gdyby tupetem dało się zastąpić surowce, uzbrojenie czy talenty strategiczne, to niewątpliwie ten rodzaj uzdolnień płk. Umiastowskiego przechyliłby szalę zwycięstwa już dawno na naszą stronę. Niestety, jest to wprawdzie towar, który popłaca w Polsce, ale który spadł w cenie od dnia 1 września 1939 r.

GDY PKŁ UMIASTOWSKI MIJA SIĘ Z PRAWDĄ

Skondenso-
wane kłam-
stwa

A mija się z prawdą płk Umiastowski nie raz jeden, nie na jednej stronie i nie jeden raz na jednej stronie, mija się z prawdą wytrwale, systematycznie, uporczywie, z taką kawaleryjską fantazją, z taką magnacką rozrzutnością, z taką zawodową brawurą, z takim nieuleczalnym nałogiem, że nam „ludziom prostym“ nie sposób podążyć za tym potokiem nieprawdy, świadomej, radosnej, bohaterkiej, za tą Niagarą, za tą Sołą i Porąbką, za tymi wodospadami fałszu. Mija się z prawdą, gdy chodzi o rzeczy zasadnicze i pochodne, gdy chodzi o wielkie, gdy chodzi o małe i gdy chodzi o całkiem malutkie.* Więc mija się z prawdą, gdy pisze, że wojną lat 1914—1918 polski przemysł był zniszczony do cna; wie dobrze, że gros polskiego przemysłu, a niemal całość ciężkiego, znajdowała się w Górnym Śląsku, którego zakłady przemysłowe nie

* Nawet o tak malutkie, jak to, że „Wiadomości Polskie” nie chciały drukować jego artykułu przeciwko mnie. Redakcja żądała od niego tylko tego, by swój artykuł podpisał nie pseudonimem, ale nazwiskiem oraz by usunął z niego osobiste poławanki. Płk Umiastowski zgodził się na to, wziął artykuł do przeróbki... po czym go nie odesłał, a za to przystroił się w laur prześladowanej przez redakcję ofiary. Tak piękny laur kosztem tak maleńkiego kłamstwa.

uległy żadnemu zniszczeniu; wie doskonale, że ziem polskich najbardziej zniszczone zostały nie uprzemysłowione ziemie wschodnie i słabo uprzemysłowione środkowe. Wie dobrze, że mija się tu z prawdą, ale bez tego nie udowodniłby swej tezy — może czytelnik polski nie zauważy, prześlepi? — i mija się z prawdą, gdy pisze, że za to przemysł rosyjski nie był wyniszczony, bo właśnie wojna domowa 1917—1921 zniszczyła, co było przemysłu rosyjskiego i w Zagłębiu Donieckim, i wokoło Moskwy i w okręgu leningradzkim. I mija się z prawdą, gdy pisze, że przemysł rosyjski rósł w latach 1914—1918, bo przemysł rosyjski powstał naprawdę po r. 1929, dokonały tego rządy Stalina w czasie, kiedy u nas jeszcze się nie gwarzyło o COP-ie i mija się z prawdą, gdy pisze, że naczelny wódz armii greckiej opuścił swój kraj podobnie jak u nas Śmigły-Rydz i że to samo uczynił naczelny wódz armii norweskiej i inni naczelni wodzowie. Nieprawda, nieprawda, nieprawda. Wbrew twierdzeniu płk. Umiastowskiego, jakoby obecni „królowie-wodzowie“ jak w średniowieczu (?) opuszczali swe armie i kraje, jest zupełnie inaczej. To nie tylko gen. Gamelin, były naczelny wódz francuski, pozostał w swym kraju i przebywał w więzieniu. To nie tylko naczelny wódz armii holenderskiej poszedł do niewoli, choć mógł opuścić swój kraj i wojsko, to nie tylko „król-wódz“ belgijski jest jeńcem wojennym, to także — wbrew słowom płk. Umiastowskiego — naczelny wódz armii greckiej, która tak długo i tak wspaniale walczyła, gen. Papagos, i naczelny wódz armii norweskiej, gen. Runge, znajdują się w niewoli, bo kraju swego i żołnierzy nie opuścili, bo za prowadzenie kampanii czuli się odpowiedzialni.

Wicekról-wódz ks. Aosta także wolał niewolę. Przypomnę płk. Umiastowskiemu, że naczelnicy wodzowie trzech państw bałtyckich pozostali w swym kraju, kiedy został on włączony do Rosji sowieckiej, choć wiedzieli, że nazajutrz będą wywiezieni, a może i zginą. Jedynie naczelnicy wojsk armii jugosłowiańskiej, która walczyła tak niespodzianie krótko, opuścił swój kraj; był także premierem. Bo Jugosławia i Polska z lat niedawnych posiadają zdumiewające podobieństwo. Oba kraje mają dzielnego żołnierza; oba prowadziły grę z Niemcami niemal do ostatka; w obu od szeregu lat rządili, panoszyli się, robili i obalali rządy — wojskowi; w obu dzielny żołnierz okazał się nieprzygotowany do nowoczesnej walki. Tak. Ale wodzowie naczelnicy wszystkich innych państw nie postąpili jak Śmigły-Rydz. Poszli do niewoli, na ich miejsce pomianowano nowych, walka trwa dalej.

Tak rozpoczynając mijanie się z prawdą prowadzi je płk Umiastowski dalej i dalej. Mija się więc z prawdą, gdy pisze, że zastrzelony przez Gestapo gen. Schleicher bronił armii przed polityką; prawdą jest za to, że gen. Schleicher był typowym politycznym generałem, że był dwukrotnie kanclerzem, tj. premierem w Niemczech, że to on właśnie wprowadził do władzy klikę wojskową z zastrzelonym von Bredowem, Fritschem i płk. Hindenburgiem. Nieprawdą jest także, jakoby Tuchaczewskij był apolitycznym wojskowym, albowiem ambicje polityczne tego młodego marszałka były znane powszechnie, widziano w nim Bonapartego rewolucji rosyjskiej, a oskarżono o konszachty z Reichswehrą. Nieprawdą jest dalej, że w innych armiach obsadzano stanowiska wyższych dowódców „wedle klucza partyjnego“, bo po pierwsze, nie

było tak ani w Anglii, ani we Francji, ani w Niemczech, ani w dziesiątku innych armii, a natomiast nie można tego powiedzieć niestety o Polsce, gdzie jednak po przewrocie *wojskowym* w r. 1926 szereg zdolnych generałów usunięto właśnie ze względów politycznych. Mija się z prawdą płk Umiastowski, gdy żądanie, by wojsko zajęło się wojskiem, a nie rządzeniem, uważa za „pogląd antydemokratyczny z okresu samodzierżawia“, bo właśnie żądanie, by wojsko *nie* zajmowało się polityką, jest kardynalną podstawą demokracji; przeciwnie, samodzierżawia od rosyjskiego począwszy apelowały do sotni kozackich, do szarż na młodzież, do ministrów-generałów i generałów-polityków w rodzaju gen. Arakczejewa, gen. Pahlena, gen. Durnowo (nomen omen), gen. Wanowskiego, gen. Trepowa, gen. Suchomlinowa, gen. Kaulbarsa, gen. Skobielewa, nie mówiąc już o innych, choć co prawda nie znam okresu w dziejach Rosji, gdzie by tak o wszystkim rozstrzygali wojskowi, jak w Polsce ostatnich lat. Tu właśnie w krajach demokratycznych nawet ministrem spraw wojskowych bywa zazwyczaj cywil, i chyba w dorzeczu Amazonki lub nad Zatoką Meksykańską znalazłby płk Umiastowski ów swój szczególny typ „demokracji“. Mija się z prawdą, gdy pisze, że ministrem spraw zagranicznych w Polsce był „oficer rezerwy“: minister Beck był *oficerem służby czynnej, oficerem zawodowym*, który wiele lat po zakończeniu wojny 1920 r. służył w wojsku i jeszcze po przewrocie majowym był w wojsku przez lat kilka. Umiemy jeszcze rozróżniać pojęcie oficera rezerwy od oficera zawodowego. Mija się z prawdą płk Umiastowski, gdy Winstona Churchilla przedstawia nam za to jako... majora, albo-

wiem Winston Churchill poza młodzieńczym i wojennym „stage'em“ wojskowym, jaki w dawnej Anglii odbywali zwykle pokrótce synowie wybitnych rodzin, poświęcił się polityce, był pisarzem i autorem książek historycznych, posłem do parlamentu i dziennikarzem, i w jego życiu służba wojskowa odgrywała o ileż niklejszą rolę niż w życiu „oficera rezerwy“ płk. Becka. I mija się z prawdą płk Umiastowski, kiedy zapytuje, czy wskutek tego, że wojskowi zajmowali u nas stanowiska cywilne, zmniejszyła się możliwość pracy dla innych w tej Polsce tak ubogiej w inteligencję? Co prawda nie uznaję tego zwyczaju traktowania Polski jako koryta, przy którym zmniejsza się czy nie zwiększa dla kogoś miejsce; ale mogę odpowiedzieć, że istotnie zmniejszyła się możliwość pracy, że *bezrobocie* młodej inteligencji z autentycznymi *dypłomami* było w Polsce wprost ogromne, a było zwiększone tym właśnie, że wszędzie rozpierali się byli wojskowi, choć co prawda zgoła nie żadni „podoficerowie“, jak nam to delikatnie przekreśla płk Umiastowski. Nie: nie jacyś biedni kaprale, sierżanci czy wachmistrze zajmowali to miejsce i nie oni rzadzili Polską: czynili to owi wojskowi w wyższej zgoła rangi, którzy władali i w ministerstwie oświecenia publicznego i wyznań religijnych, i w izbie skarbowej, i w starostwach, i wszędzie. I mija się z prawdą płk Umiastowski, gdy dowodzi, że obsadzanie stanowisk cywilnych przez wojskowych jest „sprawą normalną w każdym państwie“, bo właśnie tak nie jest, i angielscy ministrowie, gubernatorzy, dyrektorzy banków czy dyplomaci nie są generałami, pułkownikami, oficerami zawodowymi. I mija się z prawdą, gdy pisze zagadkowo o jakichś polskich planach wspólnego pań-

stwa polsko-czeskiego w r. 1933, bo takiego planu niestety historia nie zna, i zrodził się on w głowie płk. Umiaszowskiego autora — jak pisze — fantastycznej powieści. Przeciwnie, dyplomacja polska owego okresu była z praską w jak najgorszych stosunkach. I mija się z prawdą, gdy pisze, że siły „blitzu“ nikt nie przewidział, bo przewidywał go niejeden autor wojskowy z gen. Fullerem i z gen. de Gaulle, bo Niemcy obliczyły rozbitcie Polski na trzy tygodnie (mowa Hitlera z dnia 1 września 1939 r.), bo jej apokaliptyczny obraz zgadywali u nas trafnie młodzi harcerze, ale wyśmiewali go zadufani sztabowcy. I mija się z prawdą, gdy pisze, że nasza armia zaćmiewała inne ilości ludzi wykształconych, bo to także nie jest prawdą, bo to właśnie armia niemiecka miała wspaniałą zapas wykształconych głęboko dowódców, znających i socjologię, i ekonomię, i prawo, i geopolitykę, i historię, i technikę, podczas gdy u nas pełno było niedokończonych doktorów, handlowców, prawników, medyków, no a niestety także — niedokończonych wojskowych.

Natomiast w jednym zgadzam się z płk. Umiaszowskim. Nasi wojskowi istotnie nie znali się na polityce. Nie znali się zresztą na skomplikowanych zagadnieniach narodowościowych, na trudnych zagadnieniach gospodarczych, na zawilych prawnych i nie łatwych dyplomatycznych. To prawda, i póki taki oficer znał się na wojsku i siedział w nim, nie było to jeszcze nieszczęście. Wojsko jest tak rozległą, bogatą, ciekawą i zmieniającą się dziedziną, że ono samo jest polem ogromnym, jeśli ktoś chce nad nim rzetelnie pracować. Nieszczęście następowало dopiero wtedy, kiedy wojskowy, który nie znał się na sprawach narodowościowych, zaczynał

je „amcić“, gdy wojskowy, który nie znał się na sprawach gospodarczych, zostawał dyrektorem banku, gdy porucznik obejmował konsulat, major stawał na czele firmy wydawniczej i gdy każdemu z nich się zdawało, że pewnoś siebie zastąpi fachowe przygotowanie, a poparcie — zdolności.

Ale tak właśnie działo się w Polsce na każdym miejscu i o każdej, w ostatnich czasach, dobie.

GDY PLK UMIASTOWSKI JEDYNIIE KOLORYZUJE..

Z grubszej, pospolitszej serii kłamstw oczyści- Chwyty,
liśmy już krzykliwą broszurę tego polskiego Wellsa, chwyty,
domorosłego René Claira i rodzimego Queipa de chwyty..
Llano, tego powieściopisarza, reżysera filmowego,
spikera radiowego, no i — „w międzyczasie“ —
także i oficera. Było tego niemało! — przyzna czy-
telnik. Ale obok nieprawdy stuprocentowej, obok
solidnego, totalnego, stuprocentowego kłamstwa
jest jeszcze półkłamstwo, ersatznieprawda, mniej
szlachetny kruszec łgarstwa. Są to przeinaczania
i wypaczania, przekręcania i wszelkie kombinacje,
a wszystkie ciekawe, dające należyte zrozumienie
o niepospolitych zdolnościach koloryzacyjnych na-
szego autora. Trudno żebym wymieniał je po ko-
lei; wymienię najbardziej typowe:

I. „Przeczyta wówczas uważniej książkę Mackie-
wicza i dowie się, że ten publicysta nigdy nie żą-
dał formowania czterech dywizji zmotoryzowa-
nych“.

Istotnie, Mackiewicz w *swojej książce* nie wspo-
mina, żeby żądał kiedykolwiek czterech dywizji
zmotoryzowanych. Na czymże polega chwyt plk.
Umiaostowskiego? Gdzie tu leży koloryzacja? Otóż
plk Umiaostowski wolał zapomnieć o tym, iż Mac-
kiewicz żądał tych czterech dywizji *jeszcze w Pol-*

sce, jako publicysta „Słowa“ — a nie na kartach swej londyńskiej „Historii Polski“. Istotnie, w książce wydanej w Londynie nic o tej starej rzeczy nie ma; natomiast kilka lat wcześniej, gdy stworzenie czterech dywizji było w pełni możliwe, Mackiewicz w szeregu *artykułów* wołał i o te cztery dywizje więcej, i o motoryzację.

II. Drugi przykład tej „polemicznej taktyki“ naszego pułkownika. Umiastowski pisze, że koszt produkcji średniego bombowca w Wielkiej Brytanii wynosi 60 000 funtów. Nasz budżet — wedle jego obliczeń — wynosił 100 milionów funtów. Czy więc stać było nas na bombowce?

Płk Umiastowski zgoła nie przypadkowo wybrał *sobie* te ciężkie brytyjskie *funty*. Wie on doskonale, że może nigdzie na świecie robocizna nie jest *tak droga* — jak właśnie w Anglii. Ale wie on również doskonale, że może nigdzie na świecie robocizna, nawet fabryczna, nie była *tak tania* — jak właśnie w Polsce. I wie on przecież doskonale, że koszt produkcji w jednym kraju jest większy, w innym mniejszy. Wie, wie świetnie: tylko myśli, że czytelnik się nie spostrzeże na tej... *podwójnej buchalterii*.

Istotnie, wiele robiono w Polsce lat ostatnich, aby czytelnika polskiego utrzymać w ciemności! Kto zaś robił, wiadomo. Ale ta praca, która jeszcze teraz ma swych zwolenników, udaje się coraz gorzej. A na dobitkę wyszedł właśnie pierwszy numer fachowego polskiego pisma „Myśl Lotnicza“. Jest tam długie i ciekawe obliczenie, z którego wynika, że produkcja samolotu u nas w kraju powinna kosztować... *jedną czwartą tego co kosztuje za granicą*.

III. Płk Umiastowski cytuje z zachwytem zdanie

angielskiego dziennikarza o tym, że żołnierze, którzy dzisiaj uratowali życie Wielkiej Brytanii, mają po wojnie stworzyć — nową Wielką Brytanię. Porównywa to zdanie z misją tych, co u nas wyszli z legionów, no i z misją naszego wojska w przyszłości... Cóż odpowiedzieć na ten nowy objaw koloryzacyjny? Odpowiedź jest prosta. Każdy Anglik rozumie to zdanie swego dziennikarza tak, że po wojnie ci, co walczyli, będą przebudowywali swoją ojczyznę. Ale żaden Anglik nie sądzi, że dokona się to z zachowaniem hierarchii wojskowej, żaden Anglik nie widzi swojej ojczyzny z generałami na stanowiskach ministrów, z pułkownikami w randze dyrektorów departamentów, z majorami, z kapitanami. Przeciwnie. W pojęciu każdego Anglika wojskowi zawodowi wrócą do swoich zawodowych zajęć; olbrzymia masa obywateli, którzy spełnili swój obowiązek, zajmie się przebudową państwa. To tylko płk Umiastowski zręcznym wybiegiem robi z tego radosną nowinę, że Anglia otrzyma po wojnie ten genialny ustrój, jaki miała Polska przed swą klęską...

IV. Ostatni przykład. „...w jednym z ostatnich numerów „Picture Post“ (organ Labour Party) w nr 6 z dn. 10.5.1941, przy artykule na temat „blitzu“ umieścił ten Wintringham kilka szkiców. Pokazuje na nich „zdumiewającą szybkość“, z jaką Niemcy szturmujący Europę szli przez różne państwa. Zobaczcie, jaki jest sens tych szkiców, które zrozumiał każdy człowiek w Anglii. Oto nic innego, a jest to tylko chyba stwierdzenie faktu, że nasze wojsko *było najlepsze na świecie.*“

Jest to rozumowanie bardzo dowolne. Wintringham w swych artykułach po wrześniu 1939 r. wyraził zupełnie inne, a nawet krzywdzące nas zdanie

o obronie Warszawy, zestawiając ją na niekorzyść z Madrytem; po co mu *wmawiać*, że uważa naszą armię za najlepszą w świecie? Dlaczego nie ma pamiętać, że do Polski wkraczali Niemcy frontem paru tysięcy kilometrów, ogarniającym nas od Suwałk do Rymanowa, od Litwy i Węgier, podczas gdy do Belgii, Holandii i Francji szli wąską brama, przez Libię — nadbrzeżnym szlakiem, w Grecji — dolinami górskimi? Po co zapominać, że w r. 1939 mieli dywizji pancernych *mniej* niż w r. 1940, a *znacznie mniej* niż w r. 1941, że więc i z tej jeszcze racji musieli iść wolniej i ostrożniej? Po co... Po co wreszcie przypuszczać, że dzisiejszy czytelnik polski, który i sam niejedno przeżywał, i gazety angielskie sam czyta, i mimo „blackout'u“ jeszcze nie zgnił umysłowo, nie złapie p. autora na tych niezbyt pomysłowych kruczkach?

Oto *kilka* przykładów; mogłoby ich być znacznie więcej. Nie skontrolowaliśmy *bardzo wielu* cyfr, wywodów i danych, którymi płk Umiastowski upstrzył swe wywody...

W czytelniku jednak musi obudzić się pytanie:

Jeśli *kilkanaście* razy zdołaliśmy udowodnić płk. Umiastowskiemu, że wprost mija się z prawdą, a kilka razy, że ją bardzo dowolnie przekręca — co pomyśleć o jego wiarogodności?

A to przecież jeszcze nie wszystko.

GDY PŁK UMIASTOWSKI DYSKUTUJE

Jest tego najmniej, nie godzi to w moje *zasadnicze* tezy, ale nie pominiemy i tego. Wskutek fałszywych poglądów państwa padają, wskutek właściwych podnoszą się z upadku: prostujemy fałszywe poglądy.

Kto Polskę
rozbrajał?

Otóż gotowi jesteśmy nawet przyjąć wywody płk. Umiastowskiego, że dobrej broni nikt nie sprzedawał, tylko złą i że dobrej broni, gdyśmy sami jej na czas nie wytworzyli, nie można było jednak kupić. Niestety, szereg państw na świecie broń sprzedawało i szereg ją kupowało. Sprzedawał broń przemysł belgijski, czeski, amerykański, angielski; kupowała broń Grecja, kupowała ją Finlandia, kupowała ją Hiszpania, która broniła się dwa lata. Mógłbym zresztą przyjąć w pełni rozumowanie płk. Umiastowskiego, że Polska nie miała u kogo i nie miała za co kupić broni — ale musiałbym zapytać go, *dlaczego nie porusza tak kapitalnej kwestii, że Polska, która nie miała broni, broń sprzedawała.*

„Polska sprzedaje broń starą“ — mówiono nam przez całe lata. Ale już w Hiszpanii w r. 1936 widziałem polskie karabiny z datą 1929 r. Zatem produkcji polskiej, a nie „powojenny szmelc francuski“. Trochę mnie to zaniepokoiło, zwłaszcza, że Hiszpanie chwalili jakoś tej broni; przekonano mnie jednak, że przecież nasze wojsko wie, co ro-

bi, i że jeśli te karabiny sprzedaje, to ma na składzie o wiele lepsze.

Tymczasem w r. 1939 zabrakło Polsce i karabinów. Brakło ich na Śląsku, gdzie Grażyński chciał zorganizować partyzantkę robotniczą i broni na to nie dostał; brakło ich na Pomorzu, gdzie Gdynię broniły wycięte w pień oddziały — kosynierów. Śliczna rzecz kosynierzy, i literat polski mógłby opiewać ich męstwo. Ale są literaci polscy, którzy uważają, że ich pióro jest nie tylko do opisywania rozpaczliwego męstwa, a przesłaniania nią zbrodniczej niedbałości. Naród płacił podatki po to, by nie brakło karabinów; naród chce wiedzieć, dlaczego ich brakło. Po pełnej mobilizacji armia polska miałaby przeszło 2 000 000 żołnierza; karabinów mieliśmy zaś 1 250 000. Co to znaczy? To znaczy, że niemal połowa naszej armii nie miałaby broni. Czy po takim fakcie można mieć jakieś wątpliwości co do genialności naszej elity?

A Polska sprzedawała nie tylko karabiny. Polska sprzedawała samoloty do państw bałkańskich, choć sama ich nie miała; sprzedawała zenitówki, doskonałe dzieło polskiego inżyniera i robotnika, choć też ich nie miała dosyć, do Anglii, do Holandii i gdzie indziej sprzedawała ich 240 — i dokonała tego tuż przed samą wojną. Sprzedawała działka przeciwpancerne, których także zabrakło; sprzedawała granaty; sprzedawała broń, sprzedawała broń, sprzedawała broń. Była ogarnięta radosną orgią sprzedawania. Broń polska wędrowała z Polski do innych krajów; broni tej miało w Polsce zabraknąć. Sztaby polskie nie mogły potem działać, bo nie miały osłony przeciwlotniczej zenitówek; miasta polskie padały w gruzy, bo brakło

im choć po kilka tych dział; mobilizacja polska nie spełniła zadania, bo dworce, drogi, koleje, wszystko to było *bezkarnie pod ogniem*. Ba, dn. 4 września w Toruniu armia gen. Bortnowskiego wydobyla z wagonów, wysłane do Holandii, cztery działa przeciwlotnicze. Oto przykład, jak do ostatniej chwili szedł nasz radosny handel bronią. Oto także ilustracja do tezy, że mieliśmy „światny wywiad“ i że wiedzieliśmy „doskonale“ o zamierzeniach sąsiadów; widocznie dlatego sprzedawaliśmy najcenniejszą broń tuż przed samą wojną...

Przez cały ciąg broszury płk. Umiastowskiego słyszę, że Polska nie miała pieniędzy i dlatego nie stać ją było na zenitówki i czołgi. Niestety, Polskę stać było na tysiące luksusów reprezentacji: niestety, większość naszego budżetu wojskowego nie szła na zbrojenia; niestety, od naszego własnego Prezydenta zakupiliśmy jego genialny wynalazek „powietrza górskiego“ za cztery miliony złotych. Budowaliśmy kolejkę na Kasprowy, luksusy Juraty, wspaniałe gmachy banków państwowych i województw; ba, niektóre nasze czynniki wojskowe żądały w r. 1939 od cywila w ministerstwie skarbu, by stworzono *premie na wywóz broni z Polski*, jak były premie wywozowe za cukier czy węgiel. Ale może to jest nieprawda? Ale może to jest przesada? Może tego nie było? No i może o tym płk Umiastowski nic a nic nie wie? Tak, na pewne rzeczy u nas pieniądze były, ale na inne tych pieniędzy brakło. Piechota sowiecka wkraczała do Lwowa z karabinami na sznurkach, ku pogardzie naszych sztabowców; ale ku goryczy rozumnych ludzi wkraczała otoczona stupudowymi czołgami.

Może
Tuwim,
może Witos,
może cywile
pogardzeni?
Czy spo-
leczeństwo
nie ma pra-
wa sądzić?

Kto rządził państwem? Kto w szczególności rządził obroną kraju? Czy przemysł wojenny nie był pod zarządem wojska? Kto jest odpowiedzialny za to, że Polska w przededniu wojny wyprzedala się ze swego najlepszego uzbrojenia?

Oto sprawy, które płk Umiastowski woli pominąć milczeniem.

Natomiast woli ująć się za człowiekiem, który posiadał najwięcej miru w narodzie, najwięcej władzy w państwie, największy związek z armią — za marszałkiem Śmigłym-Rydzem. I wywodzi: „Naczelnny Wódz kampanii 1939 r. jest atakowany w artykułach Pruszyńskiego za swą działalność polityczną i wojskową. Jest on nadal żołnierzem w czynnej służbie i jeżeli zawinił w swym działaniu politycznym, ocena tego należy do Sejmu i Rządu w wolnej Polsce, a na razie jedynymi instytucjami, które posiadają prawo autorytatywnej oceny, jest Rząd i Rada Narodowa. Jeżeli zaś zawinił jako żołnierz, to jedynym mającym prawo do wydania opinii i oddania go sądowi wojskowemu — jest jego przełożony minister spraw wojskowych“.

W tym „prawniczym“ wywodzie płk Umiastowski myli się bardzo a bardzo. Działalność naczelnego wodza nigdy i nigdzie nie jest przedmiotem zastrzeżonym kompetencyjnie: przeciwnie, omawia ją każdy obywatel, nawet w państwie niedemokratycznym. I działalność Śmigłego-Rydzia była omawiana w Polsce po klęsce, była omawiana na emigracji, a wszędzie była i jest potępiana. Inaczej nawet być nie może. To nie tylko publicysta ma prawo, a także i obowiązek pisać o tych ponurych sprawach; to każdy żołnierz, który walczył, każda matka, której syn poległ, każde dziecko, które stra-

ciło ojca, każdy człowiek, który stracił dom, cały naród, który stracił ojczyznę, ma prawo o to pytać, to osądzać, mieć o to żale i gniewy. To nie jakieś zastrzeżone koło osób, nie jakaś warstwa czy gorzej — kasta, a tym mniej klika ma prawo o tym mówić. Prawo to posiada cały naród, i walczymy tu także i o to właśnie, żeby tego prawa mu na przyszłość, jak niedawno, nie odbierano, a przeciwnie. by mógł je sprawować, jak w wizji Wypiańskiego „wyrobnik i dziewczka bosa“. Oto właśnie jest demokracja, o której teraz nawet płk Umiaszowski nam mówi! A tamto jest jakimś rodzajem neoszlachetczyzny, ale bez zalet dawnej szlachty, jakimś potwornym samodzierżawiem nikłej i wątpliwej elity, nad ogromną i świadomą maską.

Jeżeli się nie mylę, płk Umiaszowski ma na celu obronę marszałka Śmigłego-Rydza. Nie wiem, dlaczego porównywa go do „królów-wodzów średniowiecza“; widocznie nie rozumie, czym był średniowieczny król, pomazaniec Boży, właściciel państwa; widocznie nie rozumie, że nawet marszałek jest dziś tylko dowódcą wojska. Wysuwa on różne możliwości, jakie stały przed Śmigłym-Rydzem: mógł zginąć na polu walki; mógł dostać się do niewoli. *Doprawdy, czy nie rozumie, że każda z tych możliwości była dla tego nieszczęsnego człowieka lepszym wyjściem, że w każdej ocu- liłby honor? W niewoli niemieckiej czy rosyjskiej jakże by inaczej dziś wyglądał? Gdyby zginął na polu walki, ileż by mu naród wybaczył... Każde wyjście byłoby lepsze od takiego, jakie obrał! Napoleon III szukał śmierci pod Sedanem; nawet Wilhelm II brał pod rozwagę takie właśnie wyjście. I nikt i nic nie wytłumaczy Polakom, że przekraczając granicę rumuńską w chwili, gdy Polska wal-*

czyła, Śmigły-Rydz postąpił, jak przystało. Nawet tak powściągliwy pisarz jak gen. Norwid-Neugebauer nie znajduje dla tego postępuku ani jednego słowa obrony.

Najdziwniejsze, że jednocześnie płk Umiastowski parokrotnie atakuje przedstawicieli, a nawet przedstawicielki literatury, które szukały schronienia za granicą. Cóż odpowiedzieć na taki *typ rozumowania*, wedle którego powieściopisarka Maria Kuncewiczowa czy Stefania Zahorska nie powinna była wyjechać z kraju, ale za to marszałek Śmigły-Rydz, wódz armii, która broniła jeszcze stolicy i morza, i znacznej części kraju, miał wszelkie prawo swój kraj i żołnierzy porzucić? Cały świat uważa za normalne, że pisarze krajów zagrożonych przez Hitlera opuścili te kraje, by swą twórczością na emigracji móc wołać o swej ojczyźnie; ba, ma się za złe wielu pisarzom francuskim, że pozostali w swym kraju, zamiast iść na wygnanie z armią de Gaulle'a; tylko w pewnych polskich mózgach bęta się cudaczny pogląd, że nawet kobietom nie wolno było wyjeżdżać, ale za to wadzom wolno było uciekać.

Demokra-
cja żan-
darmska.

Otóż to są wszystko systemy myślenia, świat pojęć, sposób rozumowania, z którym dla dobra Polski należy *nareszcie skończyć*. Nie można uważać za coś nadzwyczajnego, że na wojnie ginęli „nawet“ generałowie, bo to, że giną na wojnie generałowie, to rzecz w normalnej armii — normalna. Jeśli czyje bohaterstwo zasługuje już na uwagę, to przede wszystkim bohaterstwo kobiet, dzieci, starców, tych, którzy tego co wojskowi obowiązku nie mieli. Nie można potępiać pisarzy opuszczających kraj, w którym pierwsi padliby pastwą najeźdźcy, a jednocześnie bronić wodza, który ten

kraj w pełni wojny porzucił. Nie wolno powiadać, że o prowadzeniu wojny pisarz pisać nie może, a nawet „jak śmie“, bo wokół nas codziennie setki pisarzy obcych piszą, krytykują, omawiają i oświetlają, nie narażając się przez to na polajanki i pogroźki. Nie można uważać za zrozumiałe, żeby z grona 18 000 oficerów wychodzili rządcy trzydziestopięciomilionowego państwa, bo dobre sto lat temu odrzucono zasadę, by kilkunastomilionowym wówczas narodem rządziło około miliona warstwy szlacheckiej, a jeśli tamto w w. XVIII dopiero zaczynało być anarchizmem, to było nim w w. XX na pewno. I nie płk Umiastowski będzie decydował, kiedy nam wolno, a kiedy nie wolno stosować słowa Żeromskiego, i nie płk Umiastowski będzie ustalał, kto należy do „ludzi silnych“, a kto do „ludzi słabych“, komu „wolno“ mówić, a komu wolno tylko... milczeć.

Niestety, po dziś dzień jest u nas zbyt wielu amatorów, aby inni milczeli! Niestety, po dziś dzień demokracja nasza jest na gębę i na święto! Ale co do ludzi „silnych“ i ludzi „słabych“, to pozwoli płk Umiastowski, że podziękujemy mu najserdeczniej, iż przypomina nam pewne rzeczy ze słowem „silni“ i z jego nazwiskiem nierozdzielnie i na zawsze związane.

SILNI, ZWARCI, GOTOWI...

Człowiek, którego nazwisko Polska wspomina z przekleństwem.

ALBOWIEM płk R. Umiastowski nie jest postacią nieznaną, choć nie jest jednym z tych dzielnych oficerów polskich, co na czele swych pułków krwawili się w nierównej walce, pozbawieni samolotów, których nie budowano wznosząc reprezentacyjne pałace, pozbawieni zenitówek, które sprzedawano na tygodnie przed wojną, pozbawieni dział przeciwpancernych, które wynalazł polski technik, ale których nie zakupił polski sztab, pozbawieni czasami nawet i karabinów. Nie. Nie należy do nich. Ale płk Umiastowski ma jednak swoje miejsce w dziejach września.

Płk Umiastowski prowadził warszawskie radio.

To płk Umiastowski zapewniał nas po wielokroć, że w postaci Śmigłego-Rydza „mamy wodza, jakiego nie ma cała Europa“. Istotnie nie miała. To płk Umiastowski siał przez radio nieopisane zapowiedzi, wyjaśnienia, fikcje, nieprawdy, które obiegały kraj i front. To on na konferencji prasowej drwił z Hitlera, że walczy „po kaprałsku“, waląc „jak klonicą“. I wreszcie to on wydał słynne nocne wezwanie do mieszkańców Warszawy, by opuścili miasto. To na jego wezwanie radiowe kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn, a może i więcej, zdanych do noszenia broni, wyszło z miasta. Wpadli potem pod bolszewików, pozapychali sobą drogi,

rozstrzelowali ich Niemcy, zabrakło ich w Warszawie. Wskutek tego rozkazu w warszawskich zakładach użyteczności publicznej zabrakło naraz pracowników gazowni, elektrowni, wodociągów, zabrakło policji, poczty. Wskutek tego rozkazu nie było mężczyzn do gaszenia pożarów w Warszawie. dokonywały tego słabe, wynędzniałe z głodu kobiety, przeklinając tego, kto był temu winien. Za spóźnienie się z przepustki zwykły strzelec idzie do paki, i idzie słusznie; jakąż odpowiedzialność poniósł płk Umiastowski za swój straszliwy rozkaz? Kto tu woła o prokuratora i gdzie tu jest sąd polowy? Trudno wyobrazić sobie robotę, która by lepiej przysłużyła się armii niemieckiej. Toteż po tym dokonaniu płk Umiastowski należał do najbardziej znieawidzonych w kraju postaci. Po takim wspaniałym dowodzie wojskowej bezmyślności może by lepiej nie pouczał nikogo o zagadnieniach strategii, których pełną niezajomość osobiście wykazał, i może by lepiej nie chwalił się nam, że służąc w wojsku nakręcał filmy, pisał powieści i wojażował po Grecji, ani nie zapowiadał, że w przyszłości w Polsce będziemy mieli rządy tej samej kasty, jakąśmy mieli przed wrześniem. Naród polski chce właśnie tego, żeby pułkownicy kierowali nie radiem, ale pułkiem; żeby nie kręcili filmów, ale zajmowali się wyszkoleniem żołnierza, żeby nie sprzedawali broni, skoro jej dosyć nie mają; żeby nikogo za pieniądze państwowe nie dożywiali, ale żeby za pieniądze państwowe nie budowali i yacht-klubów; żeby swą religijność okazali: mniejszą ilością rozwodów, a nie rozbieraniem cudzych cerkwi. I żeby wreszcie przestali pouczać literatów, co mają i jak mają pisać.

Nie; nie jest przypadkiem, że obrońcą tego stra-

sżliwego stanu rzeczy, jaki panował w Polsce i z jakim trzeba będzie wziąć nareszcie rozbrat, jest właśnie płk Roman Umiastowski. Nikt nie zawarł w sobie w tak chemicznym zgęszczeniu wszystkich cech tego typu wojskowego: ignorancja, nieprawda, chęć decydowania o wszystkim i o wszystkich, żądza władzy, niechęć do wolności, frazeologia, chaotyczność, kult niekompetencji, a wreszcie niesamowity tupet, zupełne niezrozumienie tego, że po swojej roli w Polsce mógłby przynajmniej milczeć, a nie żądać milczenia od innych. Zło, jakie było w Polsce, znalazło w Romanie Umiastowskim najbardziej powołanego, najgodniejszego obrońcę.*

* Dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień zaznaczam, że moje krytyczne uwagi nie miały ani nie mają na celu korpusu oficerskiego jako całości, czy też wszystkich oficerów polskich w ogóle. Przeciwnie, w wielu artykułach zaznaczałem przeciw rozpaczliwe bohaterstwo tych, co zamiast zaleszczyckiego sromu wybrali rzeź pod Kutnem. Co krytykuję, to: 1) karygodne nieprzygotowanie naszej armii do wojny nowoczesnej, zawinione przez szereg kierowniczych elementów; 2) wkraczanie poszczególnych wojskowych do tych dziedzin życia państwowego, do których z racji swego zawodu czy wykształcenia się nie nadawali; 3) zajmowanie się przez nich sprawami, które nigdy i nigdzie w normalnym państwie wojskowych nie obchodzą.

Poza tym jednak znajdowali się ludzie w armii, którzy patrzyli z niepokojem na nasze nieprzygotowanie, którzy nie kwapili się w opuszczaniu koszar na rzecz konsulatu, banku państwowego, ministerstwa lub starostwa i którzy rozumieli, że armia na mieszanu się do polityki tylko straci. Znajdowali się i inni, którzy spełnili chlubnie swój obowiązek. Nikt, a ja najmniej, tym naszym wojskowym niczego nie zarzucam. Sądzimy właśnie, że w interesie tego, co było zdrowe, jest oddzielenie go od tego, co było niezdrowe, jest pewno nie było. W przyszłej Polsce taki właśnie typ żołnierza będzie miał zaufanie narodu.



SPIS TREŚCI

	str.
Od wydawnictwa	5
Kilka słów wstępu	11
Księga ponurych niedopowiedzeń	13
1000 mil od prawdy	51



E R R A T A

str.	wiersz od góry	jest	winno być
15	11	polsce	polskie
58	1	pkł	plk
78	10	po	o

K. Pruszyński — Księga ponurych niedopowiedzeń



PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Witczeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



26036